

SIOSTRY

SZTUKA PSYCHOLOGICZNA.

Paulina Kuczalska Reinschmit

WARSZAWA, NAKŁAD RE-
DAKCJI „STERU”. SKŁAD
GŁÓWNY W ADMINISTRA-
CJI. UL. BODUENA 2. 1908.

SIOSTRY

SIOSTRY

SZTUKA PSYCHOLOGICZNA.

Paulina Kuczalska Reinschmit

WARSZAWA, NAKŁAD RE-
DAKCJI „STERU“. SKŁAD
GŁÓWNY W ADMINISTRA-
CJI BODUENA 2. 1908 R.

YAT 2018

BIELSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

DRUK K. KOWALEWSKIEGO, MAZOWIECKA 8.



884-2

M

D. 9. z 28.4.45

SIOSTRY.

SZTUKA PSYCHOLOGICZNA w IV AKTACH.

Osoby:

- Zofia
- Matka
- Ojciec
- Kazimierz
- Kobieta-lekarz
- Aniela
- Wanda
- Ludwika
- Panna Róża
- Bartłomiej
- Bartłomiejowa
- Marynka
- Wacia dziewczynka kilkoletnia.
- Lokaj

} Kuzynki Zofji

Rzecz dzieje się w Warszawie.

Akt I w mieszkaniu Bartłomiejów.
Akty II, III i IV w mieszkaniu rodziców Zofji.

9133

AKT I.

Pókim miała ciało nadobne, chodziłam w promieniach słońca — ludzie dobrzy byli dla mnie. Gdym zwiędła jak kwiat, jak napięknieszy kwiat, rzucili między gnijące, w ciemny mrok, gdzie płacz i zgrzytanie...

Zyg. Krasiński.

(Niedokończony poemat. Sen. str. 29).

I.

Obszerna, lecz uboga izba Bartłomiejów. W głębi drzwi, między drzwiami a piecem stoi niska skrzynka, za piecem stół, dalej łóżko, przy oknie ustawiona deska do prasowania. Koło pieca sprzęty gospodarskie, wśród których krząta się Bartłomiejowa, kobieta widocznie przed czasem postarzała, wypłakane oczy, ręce zgrubiałe, zaniedbana w ubiorze.

Przy oknie przeciwległym siedzi i szyje lokatorka panna Róża, lat około pięćdziesięciu, siwiejące włosy ma gładko nad czołem rozczesane, ubrana starannie w ciemną suknię; nogę trzyma wyciągniętą i opartą na niskim stołku. Przed nią stół zarzucony robotą. Za nią w rogu stoi łóżko, kuferek, komoda na niej lustro i drobiazgi, ten czysty i schludny „kąt” odgradza parawan w tej chwili zsunięty.

PANNA RÓŻA. Moja Bartłomiejowo usuńcie kouwękę i szaflik na bok. Moglibyście też porządniej zamieść. Dziś pewnie zajrzy pani doktor, a ona taka na porządek uważająca! Zawsze powtarza, że człowiek czystością zdrowia sobie dodaje.

BARTŁOMIEJOWA [niechętnie]. Eh! pańskie wymysły, gdzie tam człowiek może codzień izbę stroić jak na wielkie święto, kiej ma robotę na karku.

PANNA RÓŻA. Toż to dla mnie wielkie dziś święto moja Bartłomiejowo. Przyjdzie czy nie przyjdzie pani doktor, — ten anioł, bez którego pewnie okulawiałabym, ale przecież dziś ma przyjść także moja dobra panienska, przymierzyć te kaftaniki, co jej do wyprawy szykuję. [podnosi robotę w rękę trzymaną].

BARTŁOMIEJOWA [z niedowierzeniem]. A czemuż to ta panienska tyle czasu tu nie przyszła, kiedy niby taka dobra.

PANNA RÓŻA [z oburzeniem]. Niby dobra! a nie widziała to Bartłomiejowa co mi przysłali w czasie choroby?

BARTEOMIEJOWA. Zawsze mogłaby zajrzeć.

PANNA RÓŻA [tonem reflektującym a potem z wielką pewnością siebie]. Niby to tak łatwo, teraz kiedy ślub za kilka tygodni. Chryste Panie! co tam za rozgardyasz być musi, osobliwie kiedy mnie niema!... A potem, pani bardzo bojąca, żeby czasem panna Zosia nie zobaczyła, albo nie usłyszała czego nieprzystojnego.

BARTEOMIEJOWA [pytająco]. Niepuszcza jej z domu?

PANNA RÓŻA. Samej, prawie nigdy; pan także okrótnie tego nie lubi i zaraz się gniewa, choć znowu nie taki to on święty, ale w domu, nie można powiedzieć, godny pan. [Opowiada dalej szyjąc]. Chowana też panienska jak w puchu ciągle się czegoś uczy, wiecznie w książkach siedzi. Czasem jak zacznie opowiadać różne cudowności o dawnych czasach, albo śliczne wiersze mówić, to mało się człowiek nie zasłucha. A niewinua jak dzieciątko małe! Co prawda i ja się bałam prosić, aby panienska do mnie przyszła, bo wiecie Bartłomiejowo jak to z waszym często bywa.

BARTEOMIEJOWA [z westchnieniem]. Toć wiem nieszczęśliwa!

PANNA RÓŻA. Byleby dziś wytrzymał.

BARTEOMIEJOWA. Kiej statkuje to wytrzyma, choć do soboty... aby tylko nikogo ze znajomych nie spotka... Mój Boże!... co ja z nim mam nieszczęsna! [nasłuchując] A dyć to on się wlecze!

[Drzwi się otwierają i wchodzi Bartłomiej, wysoki, barczysty mężczyzna, przygarbiony, zawiedły, widocznie pijany].

BARTEOMIEJOWA [spojrzawszy na męża woła z gniewem]. Skaranie Boskie! znowuś się uchlał, jak bydle! Człowieku gdzie ty masz sumienie?

BARTEOMIEJ [z trudnością podchodzi do skrzyni koło drzwi i siada mówiąc]. Sumienie? Dlaczego ja mam mieć sumienie?... kiedy go nikt nie ma.

BARTEOMIEJOWA. Cicho pijaku, wiecznie swoje rozpoczynasz.

PANNA RÓŻA [upominający tonem]. Ot, lepiej by się pan Bartłomiej przywitał po ludzku, zamiast wygadywać.

BARTEOMIEJ. A czegoż mi ona wydziwia? Sumienie mam mieć ja, a miała go ona, gdy mi niedopilnowała córki?

mojego oka w głowie! A miał je ten hultaj co mi ją zabił?... gorzej jak zabił!... Gdybyż był zabił!... Miałbym choć uciechę na zaduszki, jej grób obstawić świeczkami..., jarzącymi świeczkami... dawałbym na mszę za jej duszę, a tak... a tak...

Bartłomiejowa stojąc koło komina łyzy obciera fartuchem.

PANNA RÓŻA [uspakająco]. Trudno, pan Bóg zsyła nieszczęścia, trzeba się z jego wolą zgadzać.

BARTEOMIEJ [porywa się z gniewem]. Co panna Róża pleciesz! Pan Bóg by chciał, aby moja Marynka została ładacznicą? tfu!...

PANNA RÓŻA. Wstydźcie się panie Bartłomiej, to grzech tak wygadywać, ja mówię tylko, że nieszczęście trzeba znośić z pokorą.

BARTEOMIEJ. Tak, nieszczęście, ale nieszczęście... to choroba, śmierć, ogień, a tamto nie jest nieszczęście — to krzywda! [podnosząc głos] Słyszy panna Róża to krzywda, co serce gryzie jak robak, krew ssie z człowieka, a gdy nie może wytrzymać i zaleje robaka, żeby zapomnieć, choć na chwilkę jedną, to mu dopiekają.. nie masz sumienia!

BARTEOMIEJOWA. Bo i prawda, ja haruję, że mało se rąk nie urobię po łokcie i nóg już nie czuję, a ty pracujesz tydzień — aby potem pić przez całe miesiące! [wskazując ruchem sprzęty gospodarskie] Popatrz, co się zostało z naszego dobytku? przez twoje pijaństwo.

BARTEOMIEJ. Powiedz przez naszą krzywdę.

BARTEOMIEJOWA. Co ma krzywda do picia.

BARTEOMIEJ. I bardzo, bo choć człowiek zawsze lubił pohulać, ale pamiętał, że ma dziecko i pracował jak się patrzy. [z żalem] A teraz jak mi dziecko sponiewierano i nie będzie komu starości mojej podeprzeć, ani komu oczu zamknąć, dla kogo mam dbać?... Może dla ciebie klempo, któraś mi córki niedopilnowała?... [wygrażając pięścią] Nie-do-cze-ka-nie twoje Cierp teraz, cierp, a ja jeszcze dołożę, bo mnie rękę świerzbią, [zaciska pięście i mówi z rozpaczą] a nie wiem... nie wiem, jak się ten łotr nazywał...

Wstaje i chwiejąc się na nogach idzie i zamierza uderzyć żonę, która podbiega do panny Róży. Bartłomiej zawadza o łóżko i pada na nie, szamocze się, powstać nie może i woła ze wściekłością.

BARTŁOMIEJ. Oh! gdybym ja wiedział kto on! Tożbym mu gnaty połamał na miazgę!... na ciasto!.. deptał! ot tak! ot tak.

Tłucze nogami o poręcz łóżka, potem wyczerpany ucisza się, po chwili słycać chrapanie.

BARTŁOMIEJOWA [do panny Róży półgłosem]. Pewnikiem spotkał dziewczkę, która mu Marynkę przypomniała, abo kogo z dawnych znajomych obaczył. To go zawdy taka chandra opadnie i znowu pić zacznie na zabój. Oj biedna ja, biedna! [płacze].

Słycać pukanie do drzwi i zapytanie:

— Czy tu mieszka p. Róża Terlikowska?

PANNA RÓŻA [z pośpiechem]. Tu, tu, otwórzcie Bartłomiejowo to moja panienska.

Bartłomiejowa otwiera wchodzi Zofja. Młoda, przystojna, sympatyczna szatynka, wyraz twarzy łagodny, z odcieniem stanowczości, trzyma paczkę w ręku. Rozgląda się po izbie, na widok śpiącego na łóżku mężczyzny waha się, potem szybko podchodzi do Róży.

ZOFJA. Dzień dobry panno Rózo, cóż noga mniej boli?

PANNA RÓŻA. Prawie już zupełnie wydobrzała, dzięki tej pani doktor, która nie tylko tak dobrze leczyć umie, ale życzliwym słowem pocieszy człowieka. Jaka panienska dobra, że że przyszła do mnie [chce ją w rękę pocałować].

ZOFJA [usuwa rękę i kładzie paczkę na łóżku, mówiąc]. Na pociechę po gorzkim lekarstwie. Czy to ja nie pamiętam, jak mnie panna Róża uczyła szyć dla lalek.

PANNA RÓŻA [z radością]. Panienska to pamięta! Niechże panienczka moja siada.

Bartłomiejowa podaje krzesło obcierając je fartuchem.

ZOFJA [do Bartłomiejowej]. Dziękuję. [siada i mówi do Róży]. Czy jednak panna Róża nie zanadto męczy się robotą.

PANNA RÓŻA. Oh! nie, bez roboty zanudziłabym się na śmierć. Róża stara, chora, ale jeszcze potrafi [pokazuje jej robotę]. Proszę obejrzyć, a potem przymierzmy.

ZOFJA [spoglądając na śpiącego Bartłomieja]. Mierzyc... tu?..

PANNA RÓŻA. Jest parawan, będziemy jak w osobnym pokoju. Moja Bartłomiejowo proszę rozsuńcie parawan.

Bartłomiejowa rozstawia parawan, który zupełnie zakrywa Zofję i Różę. Potem zabiera się do prasowania, i poprawiając

deskę trąca krzesło, na którym opartą była deska i ta upada z łoskotem, jednocześnie otwierają się drzwi.

BARTŁOMIEJ [budzi się, zrywa na łóżku i pyta]. Co to? kto to?

Na progu staje Marynka ubrana biednie, okryta chustką, ślady piękności na twarzy obecnie mizernej, wygląd suchotniczy. Trzyma za rękę kilkoletnią dziewczynkę, wynędzniałą z podbitym okiem.

MARYNKA [z determinacją]. A no ja!

Rodzice rzucają się ku niej i wpół drogi zatrzymują w osłupieniu.

BARTŁOMIEJ. Marynka!?

BARTŁOMIEJOWA. Ty... tutaj?

MARYNKA. Przywlokłam się oddać wam dzieciaka, bo już dłużej nie mogę... [oddycha ciężko].

BARTŁOMIEJOWA [szydyczko]. Pracować na bękartą?

MARYNKA [czyni gest zniechęcenia]. Ani pracować, ani żyć... Czy nie widzicie, że się ledwie trzymam na nogach. [siada na skrzyni przy drzwiach, dziewczynka przy nogach jej na ziemi] Doktor powiedział, że mam suchoty — potrwa to może tygodnie, a może miesiące mówił, więc mnie nie chcieli trzymać tak długo w szpitalu. Mnie też się cniło do małej i łachów, jak krew przestała buchać wypoczęłam i wróciłam. Wróciłam [kasze] po to, aby zastać dobytek rozdrapany przez sąsiadów, a dziecko skatowane, bo głodne wzięło bułkę ze straganu. Gdy się upomniała o swoje dobro, te zbóje straszili kryminałem i bić chcieli.

BARTŁOMIEJ [zaciskając pięści]. Szelmy!

Podczas tego opowiadania, Bartłomiejowa zbliżyła się do dziecka, pogładziła po głowie, dała kawałek chleba i odprowadziła do łóżka, na którym dziecko po chwili usnęło.

BARTŁOMIEJ. Mów dalej.

MARYNKA. Zabrałam dziecko, węzelek i poszłam przed siebie, gdzie oczy poniosą, aż słyżę wołanie — Na bok! — ktoś mnie za ramię szarpnął w tył, a tuż przedemną mignęły siwe konie... a w powozie... on!.. z piękną Toską.

BARTŁOMIEJ [przyskakując do córki i chwytając ją za ramię]. On? Powiesz ty mi nareszcie jak się ten hycel nazywa?

MARYNKA. Teraz powiem, bo kiedy go zobaczyłam jadącego na bibę wtedy, gdy ja i jego dziecko jesteśmy bez dachu

i przystanowiska; nie wiemy gdzie się podział i wymyślają nam od ladacznicy i złodziejek .. oprzytomniałam i zrozumiałam... że to nijak nie może być bez kary! Kiedy ja mam umierać i sierotę zostawić na ludzkie znęcanie. Wtenczas... przypomniałam sobie was i pomyślałam, że gdy mnie nie stanie, to wy swojej krwi nie odepchniecie! Tó biedniatko, zawsze przecie wasze wnu cze, więc jej nie wyrzucicie jak szczeniaka?

Schyła się do nóg rodzicom, którzy ją podnoszą.

BARTŁOMIEJ. Czemu mi dawniej nie chciałaś powiedzieć kto on? chciałem cię i bił i prosił.

MARYNKA. Bo to już by wtedy nic niepomogło... tylko nieszczęście dla niego, a kryminał dla ojca.

BARTŁOMIEJOWA. Więc ci jego żal było?

MARYNKA. A no żal... jego, a nawet jego dzieci, bo mi je Walek, ten co to pamiętacie, chciał się żenić ze mną, pokazał kiedyś przez sztachety w ogrodzie. On tak miło na nie wołał: Miciu, Zosiu, Władziu... [Za parawanem słycać stłumiony okrzyk] Myślałam, że padnę taka mnie wtedy żałość ogarnęła... Walek nie wiedział, że już było zapóźno i chciał mnie przekonać, iż on żonaty i dietny.

BARTŁOMIEJOWA. A tyś wołała porządnego chłopaka zmarnować, bo i Walek się rozłajdaczył, kiedyś ty poszła za tym gałganem, hańbą okrywając rodziców.

MARYNKA. On tak przysięgał, że wiecznie kochać będzie... tak gadał jak najśliczniejsza muzyka... w piekło by z nią zaprowadził... [z determinacją]. I zaprowadził... bo piekło przeszłam całe, gdy mnie z dzieckiem porzucił!... pono przegrał drugiemu w karty. [z rozpaczą] Trzeba było harować o głodzie, albo się dać chłopom poniewierać... [zawodząc] oj najadłam się ja, najadłam, jednej i drugiej słodkości do syta! [z pasją.—Ale się teraz zemszczę... zemszczę, że mnie popamięta i wyć będzie jak ja wyłam przez niego.

BARTŁOMIEJ [porywa się i kładzie rękę na ramieniu córki]. Ja ci do zemsty dopomogę [natarczywie] ale jego nazwisko! nazwisko!

MARYNKA. Wacław Morski.

Parawan nagle się przewraca, Zofja wybiega na środek sceny za nią podąża Róża.

ZOFJA [woła z oburzeniem]. To kłamstwo! Wacław Morski nie mógł popełnić takiej nieczemności!

MARYNKA [porywa się z miejsca, jak olśniona]. Ktoś ty, co jego głosem mówisz?

ZOFJA. Córka tego, którego tak oskarżasz!

MARYNKA. Córka!.. [chwile stoi osłupiała, potem porywa dziewczynkę z łóżka stawia ją przed Zofją i woła]. Przypatrz się czy to nie twoja... siostra?

Zofja przerażona wpatruje się w dziecko, ku któremu zwróciły się także oczy wszystkich obecnych, W tej chwili Marynka wydobywa flaszkę z worka, który ma przewieszony na rękę pod chustką i oblewa Zofję krzycząc. Masz za to, że moje dziecko kradło z głodu! [Zofja uchyla się — z krzykiem]. Ach! [pada na ziemię].

PANNA RÓŻA [przypada do niej i woła]. Ratunku! Ratunku!

Bartłomiej i Marynka stoją w osłupieniu, dziecko się kryje za matkę.

BARTŁOMIEJOWA [krzyczy]. Oh! la Boga!

Biegnie ku drzwiom, i spotyka Kobieta-lekarza, wysoką brunetkę, o wybitnych rysach, bystrem spojrzeniu, ubrano czarno ale wytwornie.

KOBIETA-LEKARZ [wchodząc]. Co się tu dzieje? [spozstrzeżga leżącą na ziemi Zofję i szybko do niej podchodzi.

PANNA RÓŻA. Ratuj panienkę, opiekunko moja!

(kurtyna spada).

AKT II

Skromność bez wiedzy, lub rumiane lice,
Również się dzisiaj na mało przydały,
Nie być — lecz wyrość musisz na dziewicę
Przechodząc z wolna ten świat bołu cały.

Zyg. Krasiński.

Wiersz p. t. Do kobiet.

II.

Salonik, w mieszkaniu rodziców Zofji, elegancko urządzone. Po prawej stronie szeslong, przy nim stoliczek, fotel, krzesła. Po lewej stronie stół, kanapka, fotele, taborety, kwiaty, lustro, dywany, dopełniają umeblowania. Drzwi na lewo na prawo i w głębi.

Zofja wchodzi drzwiami na prawo, w eleganckim szlafrocuku i szalu koronkowym, zarzuconym na szyję, której obandażowanie uwydatnia się w sztywności ruchów i zwrotach postawy. Przechodzi scenę, puka do drzwi na lewo. Nasłuchuje, próbuje klamki. Uchyła drzwi, czyni ruch zdziwienia, potem idzie do dzwonka i dzwoni, wchodzi lokaj.

ZOFJA. Czy... czy pan już wyszedł?...

LOKAJ. Oh! wyszedł.

ZOFJA [zdziwiona]. Dawno?

LOKAJ. Już dawno.

ZOFJA [niecierpliwie]. Ale kiedy? o której godzinie?

LOKAJ [głupkowato]. Jeszcze wczoraj.

ZOFJA [zapominając się, z niepokojem]. Zatem, wcale nie wrócił? [spozstrzega się i mówi innym tonem]. Jak tylko pan nadejdzie dasz mi znać, natychmiast.

LOKAJ. Dobrze [idzie ku drzwiom].

ZOFJA [pasując się widocznie z niepokojem]. Jak pan... Czy pan... kiedy...

LOKAJ [czeka chwilę, potem mówi]. Co proszę panienki?

ZOFJA [zapanowując nad sobą]. Nic... pamiętaj daj mi znać zaraz, jak pan powróci.

LOKAJ. W tej chwileczce, proszę panienki [wychodzi].

Zofja zamyślona krokiem powolnym chodzi po pokoju, na

twarży jej znać wyteżoną pracę myśli i walkę, po chwili wy-
cierpana siada na szeslongu i z gestem rozpacznym, usuwa się
nań i ukrywa twarz w dłoniach.

OJCIEC [we drzwiach mówi głosem podniesionym]. Nic
nierozumiem, Zosię u Róży jakaś warjatka oblała wytryolem?
co za warjatka?.. dlaczego?

ZOFJA [na głos ojca drgnęła, odjęła ręce od twarzy, ale
pozostała współleżąc na szeslongu, z ust jej wyrывa się stłu-
miony okrzyk]. Ojciec!

OJCIEC [elegancki pan, w stroju wieczorowym, koszula
i krawat nieco zmięty, twarz nosi ślady bezsennej nocy, podcho-
dzi szybko do Zofji, za nim wchodzi matka, osoba w średnim wie-
ku blondynka dystyngnowanej powierzchowności]. Dziecko moje
co tobie? [Nachyla się, aby ją pocałować, Zofja nagłym ruchem
usuwa się od pocałunku. Rodzice spostrzegają to, zdziwieni
patrzają na córkę, na twarzy której maluje się cierpienie].

MATKA. Uraziłeś ją może w ranę?

OJCIEC [zdziwiony i zaniepokojony]. Więc jest aż rana?

MATKA [ze smutkiem]. I jaka jeszcze, szczęściem, że tyl-
ko na szyi i ramieniu.

OJCIEC. Ale jakim sposobem?

MATKA. Zosia, poszła do Róży mierzyć kaftaniki...

OJCIEC [z wyrzutem] Dlaczego sama? wiesz jak tego
nie lubię, masz teraz rezultat.

MATKA [zakłopotana]. Kiedyż ja musiałam...

OJCIEC [z niecierpliwością]. Do kroćset! Czy ja się do-
wiem nareszcie, co się stało?

ZOFJA. Mateczko pozwól, ja sama opowiem, [patrzy na
nią porozumiewawczo] a mama może poszła po lekarstwo.

MATKA. Dobrze, każę również przygotować śniadanie.
[wychodzi].

ZOFJA [wstaje i idzie zamknąć drzwi za matką].

OJCIEC [zdziwiony] Dlaczego drzwi zamykasz.

ZOFJA. Bo nikt niepowinien słyszeć tego, co mam ojcu
powiedzieć.

OJCIEC [zaniepokojony]. Cóżes popełniła?

ZOFJA. Ja?—nic. — Nie o mnie tu chodzi.

OJCIEC. A o kogo?

ZOFJA [poraz pierwszy patrząc ojcu w oczy]. O ojca.

OJCIEC. O mnie, kiedy ciebie oblało?... znowu nie rozu-
miem związku, tłumacz się wyraźniej.

ZOFJA [z wahaniem]. To nie tak łatwo.. musi się ojciec
strzedz zemsty, która mu grozi...

OJCIEC [zdumiony]. Od kogo?

ZOFJA. Od Marynki i jej ojca.

OJCIEC. Jakiej Marynki?

ZOFJA [zdziwiona]. Jaktó jakiej? Czy podobna ojcie, abys
nie pamiętał Marynki?!

OJCIEC [zastanawia się chwilę, potem mówi tonem szczer-
ści]. Nie mogę sobie żadnej przypomnieć.

ZOFJA [z naciskiem]. Nawet matki twego... dziecka?

OJCIEC [oburzony]. Co ty wygadujesz! Kto ci naopowiadał
takich bredni? jak śmiesz im wierzyć?

ZOFJA [z przekonaniem]. Kto?... Marynka a wierzyć jej
muszę, taka rozpacz nie kłamie — nie kłamią rysy dziecka —
nie kłamie moja rana.

OJCIEC [oszołomiony]. Więc ta warjatka to ona! ale dlacze-
go ciebie oblała?

ZOFJA. Na szczęście znalazłam się na jej drodze, aby
otrzymać to, co ojcu przeznaczonym było. Obawiam się jednak,
że ona, a szczególnie jej ojciec, na tym nie poprzestanie. Trzeba
więc zażegnać niebezpieczeństwo...

OJCIEC [rozczerwony, zakłopotany]. Moje biedne, dobre dzie-
cko, bądź spokojna, dość uczynili, aby się dostać pod klucz, gdy
podam skargę [wstaje].

ZOFJA [wstaje i zastępuje ojcu drogę, mówiąc tonem naka-
zującym]. Ojciec tego nie uczyni!..

OJCIEC [zdziwiony, oburzony]. Mam zostawić bez kary oka-
leczenie ciebie i miotanie na mnie groźb bezzasadnych?

ZOFJA [zdumiona]. Bez-za-sa-dnych!.. po krzywdzie jakiej
doznała Marynka?

OJCIEC [wybuchając śmiechem]. Ha! ha! krzywda Marynki!
ha! ha! Dziecko moje mówisz o rzeczy, której nie rozumiesz.
Krzywda Marynki, ha, ha! toż ona krzywd takich doznała tak
wiele, że nie pojmuję dlaczego pamięta raczej tę, niż inną.

ZOFJA. [Śmiech ojca zmienia zdziwienie Zofji w przera-
żenie, wpatruje się w niego szeroko rozwartymi oczyma, potem



oszołomiona, jakby przytłoczona tym co słyszy, opada na sześlong i przez dalszy ciąg rozmowy twarz jej zachowuje wyraz bolesnego zdumienia]. Ojciec... się śmieje?

OJCIEC [lekko]. A śmieję, bo ty nadajesz tym stosunkom tragizm, jakiego wcale nie mają. W życiu rozmaitego kalibru... Marynek, krzywdy takie są bardzo zwykłym wypadkiem i stanowią dla nich bodaj jedyny promyk wesela, między pracą o głodzie, a nie wiele sytszym trudem, pod grozą pięści pijanego męża.

ZOFJA [przerywa]. Męża .. potem?

OJCIEC. Naturalnie, im to nieprzeszkadza, gdy dziewczyna nie jest rozrzutną i umie się powstrzymać, nie chce się bawić za długo.

ZOFJA [seryo]. Marynka widocznie tego nie umiała

OJCIEC. Pojmujesz zatem, że sama sobie winna i nie ma prawa mącić nam spokoju.

ZOFJA [z wybuchem]. Przeciwnie — nie mogę zrozumieć dlaczego porzucanie Marynek z dzieckiem ma być zwykłym wypadkiem, jak również zdradzanie żon dla nieokrzesanych dziewcząt?

OJCIEC [zakłopotany]. Doprawdy nie wiem, czy udajesz, czy istotnie jesteś jeszcze, aż tak naiwną, choć wychodzisz za mąż. [Z determinacją]. Gdy zostaniesz mężatką, poznasz życie, prędko zrozumiesz sama konieczności nieuniknione.

ZOFJA [słucha z natężeniem słów ojca]. Jakie?

OJCIEC. Te, które wynikają z odrębności usposobień mężczyzn i kobiet.

ZOFJA. ...Jakich odrębności?

OJCIEC [z pewnem zakłopotaniem]. Widzisz, was sama natura zabezpieczyła od szarów i popędów gwałtownych, którym mężczyzna ulegać musi, bo one są prawem jego natury. [coraz pewniej] Marynki nie tylko krzywdy wam nie przynoszą, ale nawet stanowią zabezpieczenie waszego spokoju i niepokalania, a przelotnej fantazji męskiej, ani za miłość ani za zdradę poczytywać nie należy [żartobliwie]. Zapamiętaj to sobie córeczko, że wyrozumiałość żon, daleko lepiej utrzymuje szczęście małżeńskie, niż zazdrośnie wymagająca cnota.

ZOFJA [z wytężoną uwagą]. Wyrozumiałość? na co?

OJCIEC. Na te... jak je nazywasz krzywdy Marynek.

ZOFJA. Zatem, przysięga wierności wcale nie obowiązuje mężczyzn?

OJCIEC [niezadowolony, niecierpliwie]. Wcale, zawsze i nigdy! ulubione wyrażenie kobiecie! Dobrze wam, że ochraniające przez naturę i rodzinę, możecie nie ścierać waszego idealizmu w walce o byt. Życie wyobrażacie sobie zupełnie inaczej niż ono jest, niż ono być może.

ZOFJA. Dlaczego więc nie nauczacie nas jakim życie jest i być powinno?

OJCIEC [żywo, z przekonaniem]. Kapłanki ogniska rodzinnego, muszą być tak czyste, by nawet świadomość złego serc ich nie skalała.

ZOFJA. Twierdziłeś ojcze, iż Marynki zamąż wychodzą?

OJCIEC. Co za zestawienie!... sfera, która nie używa chustek do nosa, jest mniej subtelną i w wymaganiach moralnych.

ZOFJA [naiwno-ironicznie]. Więc, w miarę rozpowszechnienia chustek... i wymagania ich moralne wzrosnąć mogą?

OJCIEC [niezadowolony]. Doprawdy zbyt dziecinną jesteś.

ZOFJA [z wybuchem, mówi coraz goręcej]. Ale i nieszczęśliwą! Ojciec nie widział tej kobiety-szkieletu, rozszalałej bólem, strasznej, która wie, że umrzeć musi. To dziecko małe, zbite, bo kradło z głodu, a tak podobne do ciebie ojcze! Myślałam, że to okropna, straszna, ale wyjątkowa jakaś... wina!...

OJCIEC [chce jej przerwać]. Zosiul!...

ZOFJA [w uniesieniu]. Nie, nie, muszę wypowiedzieć się, bo inaczej pękłaby mi czaszka [wstaje i mówi dalej chodząc]. Pierwszym wrażeniem był ból i bunt straszny, że mój ojciec, któremu tak wierzyłam i którego tak czciłam, mógł tak ciężko skrzywdzić dziecko małe. . swoje własne! [z bólem] Wiedziałam, że grzeszę, sądząc czyny ojca, a nie mogłam o nich nie myśleć! Teraz jednak czuję, że w miłości dziecięcej znalazłabym dość siły aby dopomóc w zglądzeniu winy... pokutować za nią, a choćby i umrzeć dla jej odkupienia... wszystko znieść byłoby mi łatwiej niż żyć z przekonaniem...

OJCIEC [przerywa] Jakiem?

ZOFJA [spokojniej siadając w fotelu]. Że nieszczęścia podobne są koniecznym następstwem... jak to mówiłeś ojcze... praw odmiennej natury męskiej.

OJCIEC [zdziwiony]. Nie pojmuję dlaczego bierzesz to tak tragicznie, kiedy właściwie nie ty dotkniętą jesteś.

ZOFJA [z bolem]. Nie jestem, gdy przestałam wiedzieć co prawdą, a co fałszem?... po co przysięgać przed ołtarzem. jeżeli się z góry wie, że przysięga dotrzymaną być nie może? Jak uznać za sprawiedliwe, iż za winę dwojga, pokutuje tylko słabsze, a dzieci jednego ojca mogą być kochane i gardzone, pieszczone i z głodu kradnące...

OJCIEC [stanowczo a w końcu surowo] Dość tego, nienadużywaj mojej cierpliwości, pamiętałem żeś chora i cierpisz pośrednio z mojej przyczyny, pozwoliłem ci się więc wyzalić, ale gdy się tak nie rozumnie egzaltujesz, powiadam dosyć i ani słów więcej!

ZOFJA [równie stanowczo]. Jeszcze jedno, zaopiekujesz się ojciec tą nieszczęsną i dzieckiem?

OJCIEC [wyniosłe]. Od kiedyż to dzieci rodzicom obowiązki dyktują?

ZOFJA [porywczo]. Od kiedy cierpią za ich winy!

OJCIEC [czyni ruch gwałtowny, ale się powstrzymuje i syczy przez zęby zmienionym głosem]. Zuchwała!

ZOFJA [opanowuje uniesienie i mówi ze smutkiem]. Widzisz ojciec jak trudno żyć potem. Nie umiem już być ci dzieckiem kornem, które wierzy i słucha, nie umiem pojąć wymogów życia...

OJCIEC [opanowując gniew]. Was miłość dopiero uczy przebaczać to czego zrozumieć nie potraficie. Przekonasz się o tym, jak zostaniesz żoną.

ZOFJA [z żywym odporem]. Ja żoną? nigdy!

OJCIEC [zdumiony i oburzony]. Cóż to za nowe dziwactwo?

ZOFJA. Nie mogłabym ufać mężowi... skoro nawet ojciec... [powstrzymuje się i ukrywa twarz w dłoniach].

OJCIEC [uspakajająco, potem surowo]. Jesteś zbyt rozdrażnioną, aby z tobą rozsądnie mówić można, idź spocząć i uspokój się, a nadewszystko pamiętaj, że tak ważnego postanowienia jak małżeństwo nie zrywa się w uniesieniu. Przyszłoby ci potem pokutować całe życie [odchodzi ku drzwiom na lewo].

ZOFJA [wstaje i zastępuje ojcu drogę, mówiąc natarczywie]. Temu maleństwu zapewnisz ojciec byt i wychowanie?

OJCIEC [uspakajająco]. Ależ zapewnię, uspokój się tylko.

PANNA RÓŻA [wchodząc]. Czy panienka może przyjść zmienić kompres?

ZOFJA [spogląda na Różę jakby nagle zbudzona, nierozumiejąc czego od niej chce] Co takiego?

PANNA RÓŻA. Pani prosi panienkę.

ZOFJA. Pani? dobrze, idę [wychodzi na prawo].

OJCIEC [zdziwiony]. Panna Róża?

PANNA RÓŻA. Do usług pana [kłania się]. O kiju się przywlokłam dowiedzieć, jak się panienka miewa. Chryste Panie, co za wypadek!

OJCIEC [podczas mowy Róży ważył coś w myśli]. Przekłeta warjatka. [Błysk oburzenia w oczach Róży, nad którym jednak zapanowuje zaraz nawyk pokory]. Należałoby kazać ją zamknąć za to co zrobiła, a jej ojcaszka za głupie pogrożki, ale Zosia uparła się i prosi: przebac, [z gięstem bezsilności] musiałem dziecku przyrzec.

PANNA RÓŻA [z rozczeniem]. Aniołek z tej naszej panienki!

OJCIEC [zaabsorbowany myślą odruchowo]. Oh! nie zawsze!

PANNA RÓŻA [z oburzeniem]. Jaktó? toć ledwie biedne paniątko przyszło do przytomności, zaraz prosiła panią doktora, aby poradziła Marynce, ale ona ma suchoty, więc cóż jej pomóc można.

OJCIEC [podchwytyjąc]. Otóż ja jestem skłonny pomóc, tylko chcę, aby wiedzieli, iż czynię to na prośby Zosi, a nie dla tego, aby się im broń Boże co należało. Swego czasu ta dziewczyna kosztowała mnie więcej niż z kośćmi warta. Pogrożki ich też nie straszne, prędko by ich uspokoiła koza. Co zrobię, to tylko wyłącznie dla Zosi. Pojmuje panna Róża?

PANNA RÓŻA. Doskonale.

Rozmowę przerywa wejście Kazimierza Brońskiego narzeczonego Zofji. Młody, blondyn o myślącym wyrazie twarzy.

KAZIMIERZ [podaje rękę Ojcu, kłania się pannie Róży i pyta żywo]. Jakże dziś zdrowie panny Zofji.

OJCIEC. Lepiej, w tej chwili zmienia kompresy, zalecone przez doktora, niezwykłego, bo w spódnicy. Nie pojmuje nawet skąd mojej żonie przyszła myśl wezwanie doktorki.

PANNA RÓŻA. Pani doktor nadeszła właśnie w chwili, gdy panienkę... [waha się i dobiera wyrażen] gdy panienka upadła, zaczęła ratować, a potem sama do domu odwiozła i choć to kobieta ale zna wszystko lepiej jak doktor, a taki anioł dobroci.

OJCIEC. Niechże panna Róża pójdzie zobaczyć, czy ten anioł już przyszedł i uprzedzi panie o przybyciu pana Kazimierza. [Gdy p. Róża ma wyjść woła za nią jakby przypominając

sobie]. A co do interesu to proszę zejść potem do mego gabinetu i kazać mnie uprzedzić.

PANNA RÓŻA. Dobrze, proszę łaski pana [wychodzi].

KAZIMIERZ. Wszak będę mógł widzieć pannę Zofję.

OJCIEC. Naturalnie, pewnie zaraz z matką nadejdzie.

KAZIMIERZ. Więc wstała? a wczoraj wydawała się tak bardzo cierpiącą.

OJCIEC. Ba! jeszcze pan nie wiesz, jak to z kobietami, zdaje się że umiera, a w chwilę potem zdrowa, osobliwie jak sobie czym głowę zaprzątynie.

KAZIMIERZ. Panna Zofja była też niezmiernie zaniepokojoną, lecz nie sobą, a tą warjatką, za nic jednak niechciała pozwolić na żaden krok w celu umieszczenia jej w szpitalu.

OJCIEC. Gdy się kobieta uprzedzi, mój drogi, daremne wszelkie perswazyje [czyni gest zniechęcenia].

KAZIMIERZ [pytająco]. Ale pan poczynił już zapewne odpowiednie starania w tej sprawie?

OJCIEC [zakłopotany]. Hm! naturalnie.

Drzwiami na prawo wchodzi matka z Zofją.

KAZIMIERZ [przystępuje szybko do narzeczonej i całując ją w rękę pyta z wielką troskliwością]. Jakże się pani dziś czuje?

ZOFJA. Wcale znośnie.

KAZIMIERZ [witając matkę]. Czy to jednak dobrze, iż panna Zofja wstała?

ZOFJA. Mam pozwolenie doktora.

MATKA. Pod warunkiem jednak, abyś się zachowywała bardzo spokojnie. Niechże cię wygodnie ułożę. [Podchodzą do szeslongu, na którym Zofja siada, Matka i Kazimierz podsuwają jej poduszki].

ZOFJA. Dziękuję, bardzo mi wygodnie.

Matka siada na fotelu, Kazimierz z drugiej strony szeslongu na krzesle, wchodzi lokaj i mówi do ojca.

LOKAJ. W gabinecie czeka...

OJCIEC [pospiesznie]. Wiem, wiem, idę zaraz wychodząc obaj].

KAZIMIERZ [troskliwie do Zofji]. Bardzo pani rana dolega?

ZOFJA. Cokolwiek, ale mówmy już o czym innym, pragnę o niej zapomnieć.

KAZIMIERZ. I owszem, ale o czym?

ZOFJA. Choćby o wczorajszej premierze, czy jest dość...

[szuka słowa] dość konwenencjonalna, aby na niej panny bywać mogły?

MATKA [upominająco zdziwiona]. Ależ Zosiu co za pytanie.

ZOFJA [z rozdrażnieniem, a potem goryczą]. Wszak dla nas panien wszystko jest przykrojone inaczej, nauka, teatr i powieść. Szkoda tylko, że nam potem życia nie można urządzić według tej samej recepty i w końcu musimy się przekonać, że życie jest zupełnie innym w rzeczywistości, niż w bajkach, jakie nam opowiadano, o królewnach i bocianach...

MATKA [przerywa surowo]. Porównanie zupełnie niewłaściwe.

KAZIMIERZ [pospiesznie]. Panna Zofja ma wiele słuszności, choć może za krańcowo rzeczy określa. Co do wczorajszej premiery, na której mi pani być kazała [żartobliwie do Zofji] aby się pozbyć mego towarzystwa, to nie czytały panie dzisiejszych sprawozdań?

MATKA. Nie jeszcze.

KAZIMIERZ [z pewnym zakłopotaniem]. Teza sztuki nie nowa. Wiarołomstwo kobiety, odpokutowane życiem wzorowym, a w końcu samobójstwem dla szczęścia syna.

ZOFJA [zdziwiona]. Cóż to synowi pomóc mogło?

KAZIMIERZ. Chciała uratować jego wiarę w czystość kobiety.

ZOFJA. Której wzorowe życie matki nie mogło w nim ugruntować, tego nie rozumiem.

MATKA [uroczyście]. Autor zapewne chciał wykazać tę prawdę, że kobieta popełniając wiarołomstwo wydaje na siebie wyrok śmierci moralnej, jeśli nie fizycznej.

ZOFJA. Mama uznaje zatem, że wiara dzieci w dobro na świecie, gruntuje się na niepokalanym życiu rodziców?

MATKA [jak wyżej]. Najsilniejszym talizmanem chroniącym syna od upadku w walkach życia, jest wspomnienie o niepokalanej czystości matki. [Z ostentacją]. Dziwię się, że o to pytasz, bo poczucie tego wielkiego obowiązku, tej olbrzymiej odpowiedzialności starałam się usilnie ci zaszczepiać.

ZOFJA. To też wcale nie oto pytałam.

MATKA. A o cóż?

ZOFJA [żywo]. Jeżeli syna od upadku chroni wspomnienie, o niepokalanej czystości matki, to wszakże dla córki czystość życia ojca jest również niezbędną podstawą do wiary w prawość

i szlachetność mężką, bez której miłość i małżeństwo istnieć nie może, prawda mamo?

MATKA [bez entuzjazmu]. Zapewne.

ZOFJA [niedowierzająco]. Mama tak odpowiada jak gdyby o tym przeświadczoną nie była?

MATKA [niecierpliwie]. Dziwnie się dziś egzaltujesz. To nie dobrze, masz zalecony spokój. [Patrzy na zegarek]. Może już pora na lekarstwo [dzwoni, wchodzi lokaj]. Proszę przynieść lekarstwo dla pani.

KAZIMIERZ [do Zofji]. Długo będzie pani skazaną na pozostawanie w domu.

ZOFJA. Niewiem.

KAZIMIERZ. Mieliśmy dziś właśnie wybierać obicia na meble, pani pozwoli, że przyniosę choć próbki do wyboru.

MATKA. Dobrze, będzie to dla niej rozrywką.

ZOFJA [podrażniona]. Niema potrzeby tak się z tym spieszyć.

KAZIMIERZ [przykro dotknięty]. Przeciwnie, tapicer nagli.

Lokaj wnosi na tacy lekarstwo. Matka nalewa łyżkę i podaje Zofji, w chwili, gdy ta się zwraca do Kazimierza.

ZOFJA. Aż nadto czasu, gdy wyzdrowieję. [Odwraca się nagle i trąca rękę matki, ta upuszcza łyżkę i fiolkę, która się tłucze].

MATKA [niecierpliwie]. Ach! jakże jesteś nieuważną.

ZOFJA [obojętnie]. Przepraszam, — prosty wypadek.

MATKA. Ale i zwłoka czasu, gdzie jest recepta?

Lokaj sprząta skorupy i wychodzi.

ZOFJA W szufladce mego biurka, ale... nie pamiętam w której.

MATKA. Kiedy tak, to sama muszę poszukać [wychodzi].

KAZIMIERZ [z wyrzutem serdecznym]. Dlaczego pani nie chce wybrać dziś obicia na meble. Termin naszego ślubu blizki, a ja nie przystanę na odroczenie mego szczęścia, ani o dzień jeden.

ZOFJA [poważnie]. Mamy wiele jeszcze do omówienia rzeczy ważniejszych, niż obicie mebli.

KAZIMIERZ [zdziwiony]. Mianowicie jakich?

ZOFJA. Choćby tę, o której przed chwilą mówiliśmy z mamą, bo pan milczał dyskretnie.

KAZIMIERZ [lekko]. Ach! odwieczna sprawa wierności!

ZOFJA. Co pan o niej myślisz?

KAZIMIERZ [spoglądając na nią czule]. Że cię zawsze będę kochał [z przekomarzaniem się] gdy się nie będziesz srożyć, nie będziesz mi mówiła pan i dasz się całować [bierze jej rękę i całuje].

ZOFJA [pasuje się z sobą, potem wrywa rękę i woła z wybuchem]. Nakazy, morały lub pieśczęty a nikt nie chce ze mną mówić poważnie.

KAZIMIERZ [zdziwiony i zakłopotany]. Ukochana, ja chcę wszystkiego co ty chcesz, tylko nie pojmuję dla czego, mam mówić o swojej miłości, o naszym szczęściu w tonie tragicznym, kiedy na życie zapowiada się jasno i urocz.

ZOFJA [gwałtownie]. A więc zrozum pan, jeśli odczuć nie umiesz, że mi dziś trzeba nie przysiąg i pocałunków, ale przeniknąć twą duszę, przekonać się co w swe uczucia wkładasz!

KAZIMIERZ [poważniejąc]. Przenikaj, ile chcesz, nie mam nic skrytego, lecz pytaj, bo nie mogę pochwycić wątku dzisiejszego usposobienia mojej pani.

ZOFJA. Jak pan sądzi wiarołomstwo mężczyzny?

KAZIMIERZ. Nie miałem dotąd powodu zastanawiania się nad nim [dotknięty ironicznym uśmiechem Zofji, kończy porywcz] podzielałam pogląd ogólny, że wiarołomstwo mężczyzny — nie ma groźnych dla rodziny następstw.

ZOFJA. Naturalnie podług uznania panów.

KAZIMIERZ. Oh! i kobiet także.

ZOFJA. Chyba bardzo wyjątkowych.

KAZIMIERZ. Przeciwnie większości, chyba wyjątki tylko myślą inaczej. Przypomnę pani zapatrywania jej własnej matki, które pani wyczuła w tonie jej odpowiedzi. Wymowniejszym zaś jeszcze dowodem jest, iż protest kobiet nie zaznacza się niczym w życiu.

ZOFJA. Wszakże się mszczą nieraz rozpacznie.

KAZIMIERZ. Cóż z tego, ale rozważ pani proszę, różnicę odnoszenia się kobiet do stron obu. Według wyrażenia matki pani, dla kobiety to wyrok śmierci moralnej lub fizycznej. A wybór mężczyzny, który wiele serc kobiecych zdeptał w tryumfie, nie tylko pochlebia pannom, lecz i doświadczone matki chętnie powierają mu szczęście swoich córek. [Przekonywająco]. Wobec

tęgo nie podobna wymagać, by mężczyźni uważali postępowanie swoje za złe, a zawód serdeczny kobiety, brali poważniej niż burzę wiosenną, po której kwiaty jeszcze pięknie rozkwitają.

ZOFJA [porywczo]. A ile ich więdnie i zamiera w tłumionych walkach wewnętrznych...

KAZIMIERZ. Dla czego je tłumią? po co marnują wolę i siłę na walkę z sobą, zamiast walczyć z przyczyną cierpienia. Ból silny przeobraża się zawsze w odpór, słabość tylko pozostaje bierną. Nie, panno Zofjo, gdyby dla kobiet była to istotnie kwestja ważna, to potrafiłyby one prędko oszańcować swój spokój, nie w imię osobistych uczuć, ale etyki ogólnej.

ZOFJA. Panu się zdaje, że kobietom łatwo przeprowadzić co zechcą.

KAZIMIERZ. Wszak narzucają nam konwencjonalne prawidła towarzyskie, teroryzują niemi, paczą nam smak estetyczny dziwacznymi modami, a przez swoje upodobania zamieniają nas w salonowe lalki.

ZOFJA. To wszystko drobiazgi.

KAZIMIERZ. Bo kobiety drobiazgami żyją, gdyby jednak zapragnęły one silnie i ogólnie rzeczy wielkich, to niewątpliwie starczyłoby im potęgi do ich zdobycia.

ZOFJA [wybuchając sarkastycznym śmiechem]. Zapał uniósł pana stanowczo za daleko, z jego słów możnaby wnosić, iż żony są zdradzane, bo sobie tego życzą.

KAZIMIERZ. Prawie, bo nie czynią nic, aby temu zapobiec.

ZOFJA [podnosi się z szeslongu i mówi porywczo]. Więc po co nas okłamujecie? po co krzywoprzysięgacie miłość do śmierci? skoro wiarołomstwo wasze jest tak niewinną rozrywką! Promykiem wesela dla jednych, burzą wiosenną dla drugich! [Zrywa się z szeslongu i mówi coraz gwałtowniej]. I pan sądzi, że ja potym wszystkim zostanę jego żoną? i będę mogła kochać i żyć z przeświadczeniem, iż szczęście to będzie krótkie, ograniczone, jak chwile skazanego! [z bólem] i skończyć się musi, musi koniecznie.

KAZIMIERZ [zrywa się także zdumiony]. Dla czego? poczym? co się stało? Wy tłumacz się pani proszę?

ZOFJA [w uniesieniu]. Ja nie potrafię żyć z myślą, że może już jestem zdradzana!

KAZIMIERZ [z oburzeniem]. Dla czego pani ma być zdradzana? Jakiem prawem wątpisz pani o szczerości moich zapewnień?

ZOFJA [porywczo]. Jakiem prawem? [sposstrzega wchodzącego ojca]. Zapytaj pan mojego ojca!

Wychodzi szybko drzwiami na prawo. Kazimierz stoi osłupiały. Ojciec w ubiorze domowym podchodzi do niego.

OJCIEC. Co się panu stało? Wyglądasz jakby w ciebie piorun trzął.

KAZIMIERZ. Prawie. Córka pańska oświadczyła mi w tej chwili, że żoną moją nie będzie.

OJCIEC [bez zdziwienia, zafrasowany]. Szalona dziewczyna.

KAZIMIERZ. Gdy zażądałem wyjaśnień, kazała mi pana zapytać o powód tak niespodziewanego postanowienia.

OJCIEC [niezadowolony]. Mnie? jeszcze tego brakowało.

KAZIMIERZ [podchwytyjąc]. Do czego?

OJCIEC. Et! do wszystkich jej dzieciństw.

KAZIMIERZ. Cóż panna Zofja ma mi do zarzucenia?

OJCIEC. Tobie? — nic a nic.

KAZIMIERZ [zaniepokoiony]. Czyżby przyczyna pochodziła od niej?

OJCIEC. Oh! ona też nie ma nic sobie do wyrzucenia.

KAZIMIERZ. Komuż w takim razie?

OJCIEC [chodzi po scenie namyślając się potem, staje przed Kazimierzem i mówi z determinacją]. A więc mnie!

KAZIMIERZ. Jakto? cóż to ma za związek z nami.

OJCIEC [wzrusza ramionami]. Masz logikę kobiecą mój drogi, mnie zarzut stawia, a z tobą chce zerwać.

KAZIMIERZ. Ale co się stało właściwie?

OJCIEC [z wahaniem]. No ta niby warjatka... wiesz... rozumiesz... przecież ty nie jesteś panienką. W dodatku ten bęben ma być podobny do mnie jak dwie krople wody [z przechwałką] i to zawsze tak. Lgną bestyjki do mnie, jak muchy do miodu, człowiek też nie z kamienia... i pęc! co dzieciak, to jak maska ze mnie zdjęta, [z brawurą] tęga krew.

KAZIMIERZ. Więc to była zemsta?

OJCIEC. Tak, chciała mnie oblać, a nieszczęście sprowadziło tam Zosię.

KAZIMIERZ [surowo]. Wyjątkowe okoliczności musiały chyba wywołać tak niezwykły odwet.

OJCIEC [lekceważąco]. Czy ja wiem?... bieda... podobno chorowała... popadła w nędzę...

KAZIMIERZ [jak wyżej]. A pan nic o tem nie wiedział?

OJCIEC. Skądżeby? tyle lat temu... a po mnie miejsce nie zastęgało, pojmujesz [z przechwałką] gust mam dobry, dziewczyna była szyk... cukierek, a strojnisia! Ciągnęła też z człowieka nie na żarty. Czuła, że mam do niej słabość. Dla tego to wcześniej rozstaliśmy się. Za wiele mnie kosztowała. [Z poczuciem obowiązku]. Jak się ma rodzinę, trzeba się umieć powstrzymać i zdobyć na ofiarę. [Poddając się wspomnieniom]. I tak musiałem wówczas z hipotecznej sumy żony podnieść kilka tysięcy rubli. [Bierze się komicznym ruchem za głowę]. Co to było z tem korowodów! Żonisko jakby przeczuwając, gorąco perswadowała mi tę spółkę budowlaną, ale żem się wówczas do dziewczyny palił, więc się uparłem, fuknąłem i musiała podpisać. [Z pożałowaniem]. Oj! wysłuchałem też, wysłuchałem kazańko, gdy przyszło później przyznać się niby do fiaska z kamienicą.

KAZIMIERZ [poważnie]. Jednak skoro dziecko żyło, to dziwne, że pan tak zupełnie o niem zapomniał.

OJCIEC [urazony, zdziwiony]. Przecież nie jesteśmy w Turcji. Czy to mało kłopotu, panna dorastająca i dwóch baków w szkołach? Nie sposób pamiętać o wszystkich [z przechwałką] jak się ma serce miękkie... i w dodatku krew gorącą.

KAZIMIERZ. A ja tę nieszczęśliwą chciałem kazać aresztować, gdyby nie opór panny Zofji.

OJCIEC. I przedemną się za nią ujęła. Phi! miałem dziś awanturę arabską! Zosia naiwna jak małe dzieciątko. Aż śmiech i podziw bierze. Na taką ci ją perelkę żona wychowała. [Tonem pochwały, potem żartobliwie]. Za nim ją uchodzisz będziesz miał sporo kłopotu. Dziwna rzecz jednak jak to cnotcie trudno być wyrozumiałą.

KAZIMIERZ [żywo]. Pan zatym nie bierze na serjo zerwania panny Zofji ze mną?

OJCIEC. Uchowaj Boże! Dziecko chore, rozżalone, powiedziała mi w uniesieniu, że zamąż nie pójdzie, bo już nie potrafiłaby ufać mężowi [objaśniającym tonem] ha! ha! przecież to nie powód do zerwania. Zgromiłem ją, ale nie było czasu na porozumienie z matką, aby jej to dzieciństwo wyperswadowała, a ona już zdążyła tobie je powtórzyć. [Z niepokojem]. Spodziewam się jednak, że kochasz ją dość gorąco, aby jej ten kaprys wybaczyć?

KAZIMIERZ [ze smutkiem]. Oby to był kaprys jedynie. [Po chwili]. Potem co usłyszałem, uważam za konieczne pozostawić pannie Zofji czas na uspokojenie.

OJCIEC [patrzac badawczo na Kazimierza]. Naturalnie...

KAZIMIERZ. Odchodzę zatem [podają sobie ręce. Ojciec odprowadza Kazimierza do drzwi]

(kurtyna spada).

AKT III

Oto idzie dzień, w którym się każda
z was na myślącą różę przemieni.
Wymkną się struny natchnienia z rąk
mężczyzn i przejdą w dłonie wasze.

Zyg. Krasiński.

(Niedokończony poemat. Sen. str. 34).

III.

Pokój Zofji, drzwi w głębi i na prawo. W rogu pokoju stoi łóżko, nad nim wisi obraz, obok niego toaleta, opięta zwojami białego muślinu. Z boku małe biurko, szafka z książkami. Przy oknie stoliczek, fotel i taboret, za fotelem wysoka palma na postumencie. Na prawo szeslong, przed nim stolik i fotelik.

Zofja stoi, oparta ręką o stół przed szeslongiem, zamysłona z wyrazem gniewnej zaciętości i wyczekiwania. Ojciec wchodzi gniewny również i czyni ruch by wzięść Zofję za rękę.

OJCIEC [rozkazująco]. Chodź ze mną!...

ZOFJA [usuwa się opornie]. Gdzie mam iść?

OJCIEC. Przywitać narzeczonego, który czeka na ciebie.

ZOFJA [z wysiłkiem]. Ja nie mam narzeczonego... widzieć go nie mogę i... nie chcę.

OJCIEC [surowo]. A ja nie mogę pozwolić, abyś dłużej igrała tak lekkomyślnie ze szczęściem swoim, a nawet i dobrą sławą.

ZOFJA. Gorszą lekkomyślnością byłoby zawierać małżeństwo bez zaufania i szacunku.

OJCIEC. Kazimierz nie dał ci żadnego powodu do powątpiewania o jego miłości...

ZOFJA. Ale mnie wydarto wiarę w szlachetność mężczyzn, w czystość i trwałość ich uczuć, więc nie potrafię już ani im wierzyć... ani szanować... ani kochać!

OJCIEC [lekcważąco]. Frazesy.

ZOFJA [żywo]. Oh! nie, to smutna prawda i ból ciężki.

OJCIEC [zdziwiony]. Ból?

ZOFJA. Strach! co wgryza się w mózg i serce do głębi szarpie.

OJCIEC. Strachu czego?

ZOFJA. Że spotkać mogę drugą Marynkę, a dziecko moje może mieć także siostrę, która z głodu kradnie. [Gwałtownie chodząc po pokoju]. To niepodobieństwo, nie zniosłabym takiego życia... trwogi, podejrzeń, obrzydzenia... przez to przypuszczenie znienawidziłabym, jak dziś już nie wiem, czy kocham, czy też nienawidzę...

OJCIEC. Opamiętaj się dziewczyno, bredzić zaczynasz.

ZOFJA. Być może!... [Siada przy stoliku ruchem wyczerpania], myśli od tej mary oderwać nie mogę. W dzień i w nocy stoi mi ona przed oczyma, gdy usnę, o niej tylko śnię. Dręczy mnie ona tak straszliwie, iż czasem zdaje mi się...

OJCIEC [przerywa zaniepokojony]. Co? mów?

ZOFJA [z wybuchem]. Lżej by mi było, gdybym na prawdę mogła zwarjować!

OJCIEC [przestraszony]. Dziecko nie egzaltuj się. Jesteś rozdrażniona, chora, nie będę już nalegał, abys dziś koniecznie widziała się z Kazimierzem... poszłę po doktora.

ZOFJA [znękana]. Nie trzeba... ja mam duszę chorą, nie ciało... takbym już chciała...

OJCIEC [z naleganiem serdecznym]. Czego? powiedz tylko dziecko moje.

ZOFJA [z wybuchem]. Przestać myśleć... szarpać się i żyć [ukrywa twarz w dłoniach].

OJCIEC [pochyla się nad Zofją bezradny]. Dziecko kochane... Zosiu.. uspokój się [całuje ją, ona na ten pocałunek wzdryga się i nagłym ruchem odsuwa, potem zmieszana, sztywnieje. Ojciec prostuje się i cofa].

Wchodzi matka zafrasowana, z wypiekami na twarzy.

MATKA [zwraca się do Zofji z wymówką]. Zosiu jak można się tak upierać? Czekaliśmy oboje, jak na torturach... w końcu Kazimierz poszedł, mówiąc, że nie chce ci się narzucać. Widać było, iż jest bardzo rozgoryczony twymi niesłychanymi grymasami.

ZOFJA. Po cóż mamy się widzieć, kiedy ja nie mogę zostać jego żoną.

MATKA. Nie możesz? [Siada na fotelu i mówi z decyzją]. Powiedz nareszcie dla czego?

ZOFJA. Tyle już razy mówiłyśmy o tym. [Wstaje i zaczyna chodzić po pokoju].

MATKA. Kiedy z twoich ogólników niepodobna wywnioskować, o co ci właściwie chodzi. [Zwraca się do męża]. Może ona tobie powiedziała jaki ma do tego powód?

OJCIEC [ze złością]. Czyż nie wiesz, że ten wypadek z Marynką.

MATKA [zdziwiona], Jaką Marynką?

OJCIEC. Z tą, która ją oblała.

MATKA [orientując się]. Tą, która Zosię oblała? [Ojciec daje znak potwierdzenia, Matka podchodzi do męża i przyciszonym głosem pyta]: Czyżby.. Kazimierz?

OJCIEC [z ruchem uspakajającym]. Ale gdzież tam.

MATKA [z niepokojem] Kimże jest ta Marynka?

OJCIEC [zdziwiony]. To ona ci nic nie mówiła? [Spogląda z rozczuleniem na Zofję, która stanęła w głębi przy tualecie napół ukryta]. Pocziwe dziecko! [z komicznym giestem]. Udało mi się!

MATKA [z żywym niepokojem, mówi szybko]. O czym miała mówić? Co ci się udało? Znasz tę Marynkę? to nie warjatka? [Tknięta nagle myślą woła]: Pewnie twoja kochanka! [Zakrywa twarz rękoma, pada na fotel i płacze]: Oh! Boże, Boże!

Zofja cofa się jeszcze bardziej w głąb pokoju i pozostaje jak skamieniała, wpatrzona w rodziców z wyrazem przerażenia, ale i natężonej ciekawości.

OJCIEC [podchodzi do Matki]. Zmiłuj się, stara historia, cztery lata jej nie widziałem! Nie pamiętam jak wygląda. Czym się tu martwić, czy to my większego kłopotu nie mamy? [usiłuje odjąć jej ręce od twarzy].

MATKA [odpycha go nerwowo]. Daj mi spokój, niechcę... niechcę...

OJCIEC [odstępuje i mówi uspakajająco]. Zastanów się, bo żeby sprawiedliwie było o co się gniewać, ale o dziewczę, które bym pewnie już dziś niepoznał, słowo daję.

MATKA [płacze głośniej]. Nie chcę, idź sobie!

Ojciec z ruchem zniecierpliwienia wychodzi drzwiami na prawo i zostawia je otwarte.

MATKA [szlochając]. Oh! ja nieszczęśliwa!

ZOFJA [podbiega, siada na taborecie przy Matce, mówiąc serdecznie, z pożałowaniem]. Nieszczęśliwa, droga mateczko! [Całuje jej ręce i kolana]. Wszystkie my nieszczęśliwe! Mama

biedna! ja zgnębiona, nie śmiem iść za głosem serca, choć... Kocham i tęsknię...

MATKA [wśród łez rozjaśniona]. Jeżeli kochasz dla czego się wahasz?

ZOFJA [namiętnie]. Bo nie chcę, aby mnie kiedyś podeptano i zdradzono jak ciebie moja mamó [tuli się do niej]. Jakie my biedne! [Całują się, Zofja po chwili]. Ale tamte... jakie one nieszczęsne!

MATKA [twardo i z pogardą]. Tamte!... Kusicielki naszych mężów, które dla zabawki wydzierają nam jedyne serce, jakie nam kochać wolno! Nasze ognisko zamieniają w lodownię a nas w biedne, opuszczone istoty. [Z dreszczem nienawiści i wstrętu]. To zakała naszej płci i uczciwe kobiety, a szczególnie panny, nie powinny plamić sobie ust ich wspomnieniem. One nie zasługują wcale na litość!

ZOFJA [odsuwa się od matki, wstaje i mówi z przekonaniem]. Gdyby mama wiedziała jak one cierpią strasznie!

MATKA [żywo]. To słuszna kara za ich winy.

ZOFJA [z powątpiewaniem]. Winy?... czy można poczytywać za winę to, co jest koniecznością? a już chyba my najmniej mamy do tego prawa.

MATKA [z oburzeniem]. Przeciwnie, nam właśnie nasze niepokalone życie daje prawo sądzić te występne.

ZOFJA [z gorzkim śmiechem, w którym dźwięczą łzy]. Ha! ha! Niepokalanie, które nam one zabezpieczają!

MATKA [zdziwiona i zaniepokojona]. Kto ci to powiedział?

ZOFJA. Ojciec.

MATKA [coraz bardziej zdziwiona]. Ojciec?

ZOFJA. Oh! straszne te wasze prawdy życia!

MATKA. Zosiu, unosisz się, to źle, trzeba panować nad rozdrażnieniem.

ZOFJA. Kiedy nie potrafię znieść spokojnie myśli, że czystość moja istnieje kosztem czyjejs hańby i tylko los szczęśliwy uchronił mnie od zostania... Marynką! I nic w tym zmienić nie mogę. Muszę, muszę korzystać z tej olbrzymiej krzywdy!

Przez drzwi otwarte, ukazuje się Ojciec z gazetą w ręku, chwilę przysłuchuje się on rozmowie, potem ruchem niecierpliwym cofa.

ZOFJA. Świadomość ta budzi we mnie wstręt do życia O matko! czemu nie nauczyłaś mnie życie rozumieć?

MATKA. Jesteś jeszcze zbyt młoda.

ZOFJA. A nie jestem za młoda, aby zawierać małżeństwo związać siebie i drugą osobę na życie całe?

MATKA. Wszystkie tak wchodziłyśmy w życie, poznając je zwolna, i nie tworząc urojonych tragedji, bo pamiętałyśmy, że udziałem kobiety jest cierpienie.

ZOFJA [ze skupieniem]. Wy nie znałyście życia tworząc rodzinę, więc mężowie wasi uwodzą dziewczęta a dzieci ich giną, lub kradną z głodu! [z wybuchem]. Powiedz mi mamó przynajmniej, dla czego udziałem kobiety ma być cierpienie? i jakie dobro z tych cierpień wynika, kiedy nie zapobiega ono cierpieniom innych i dopuszcza krzywd tak strasznych?

MATKA [z powagą]. Bóg przeznaczył kobietę na uległość, pokorę i słodycz.

ZOFJA [smutnie]. I to jedyna odpowiedź, jaką mama ma dla mnie w tej chwili?

MATKA [wstaje szybko i mówi ze zgrozą]. Dziecko, ty mnie przerażasz swoim zuchwalstwem, przecież nam niewolno krytykować pewników, które ustanawiały nie takie jak nasze głowy.

PANNA RÓŻA [uchyla drzwi na prawo i mówi]. Proszę pani, szwaczka przysłała po wstawki, a od Frageta przyniesli kilka paczek i żądają pokwitowania.

MATKA [wyjmuje klucze z kieszeni i podaje Zofji]. Wydaj przelicz i pokwituj.

ZOFJA [cofa się]. Ależ mamó w takiej chwili nie jestem w stanie?

MATKA [z ostentacją]. Sądzisz, że mnie to przyjdzie łatwiej? Wyręcz matkę i ucz się, że my kobiety musimy zawsze panować nad sobą. W pracy i w modlitwie szukać ukojenia i spełniać obowiązki, choćby nam serce pękało z bólu.

ZOFJA [wybucha szyderczym śmiechem]. Ha! ha! Szczytne obowiązki i owocna praca: wstawki, fragety, ha! ha! [wychodzi drzwiami na prawo, p. Róża bierze klucze od Matki i wychodzi za Zofją, jednocześnie z głębi mieszkania wchodzi Ojciec z gazetą w ręku].

MATKA [po wyjściu Zofji, siada na szeslongu i wzdycha rozpacznie]. Co ja z nią pocznę? Co ja z nią pocznę?

OJCIEC [zbliża się do Matki i mówi tonem łagodnej perswazji]. Za długo trzymałaś ją jak dziecko, w zupełnej nieświadomości życia.

MATKA [żywo]. Czyż nieświadomość można mierzyć na dawki?

OJCIEC. Tego nie wiem, dziś jednak musisz już dać Zosi trochę wyjaśnień by ją przekonać, że... nie przebaczenie to wasza wielka siła, która nas utrzymuje i chroni jak duch opiekuńczy [siada przy niej i całuje w rękę].

MATKA rękę usuwa i mówi z bólem]. Zosia tak się zmieniła, że poznać w niej nie mogę własnego dziecka, choć je od urodzenia strzegłam i hodowałam.

OJCIEC. Miej cierpliwość a nauczysz ją obowiązków dobrej żony, bo sama jesteś anielską kobietą i umiałaś szczęśliwie sterować naszym pożyciem.

MATKA [z westchnieniem]. Ach! to nasze pożycie!

OJCIEC [z naiwnym przekonaniem]. Jest przecie szczęśliwe, bo choć twój stary trochę lampart, to jednak dobroć twoja zawsze sprawiała, że ciebie jedną tylko kochałem prawdziwie. całuje ją w rękę].

MATKA [smutnie, ale już łagodniej]. Oj! potrafisz ty wymownie do serca przemawiać [surowiej]. Nie masz z tamtą żadnych stosunków?

OJCIEC [pojednawczo]. Najlepszy dowód jej zemsta.

MATKA [z wyrzutem]. Widzisz, do czego to doprowadziła nas twoja lekkomyślność?

OJCIEC [z przejęciem]. Boleję nad tym szczerze, ale cofnąć już nie mogę. Usilnie tylko pragnę niedopuszczyć by Zosia zmarnowała sobie szczęście całego życia w chorobliwym uniesieniu.

MATKA [przejęta]. To byłoby straszne, trzeba temu zapobiec... ale jak?

OJCIEC. Byle przystała na widzenie się z Kazimierzem on już ją najlepiej przekonać powinien.

MATKA. Istotnie, jedyny sposób.

OJCIEC [wstaje]. Zostawię was same, abyście się swobodniej rozmówiły [bierze Matkę za rękę i chce pocałować, Matka rękę usuwa, wstaje także, Ojciec przytrzymuje jej rękę i całuje]. No zgoda, zgoda! Ty jesteś za dobra, kochana, aby się gniewać długo, tylko jeszcze tak ndajesz, dla formy! [Usi-

kuje objąć Matkę, ona mu się opiera, ale gdy spostrzegła, że Zofja uchyla drzwi na prawo, wówczas matka przestaje się opierać i rodzice całują się ostentacyjnie. Zofja na ten widok drętwieje w ruchu zdumienia. Ojciec tego nie spostrzega i wychodzi drzwiami w głębi.

MATKA [woła Zofję]. Chodź do mnie dziecko moje. [Podchodzi do kanapki i siadając wskazuje Zofji miejsce obok siebie]

ZOFJA [zbliża się sztywno, siada z drugiej strony na krzesło, milczy uparcie].

MATKA [spogląda na nią badawczo po chwili mówi]. Zapewne dziwisz się, że tak łatwo przebaczyłam?

ZOFJA [milczy i nie patrzy na matkę].

MATKA [po chwili]. Spełniłam jednak obowiązek dobrej żony.

ZOFJA [z powątpiewaniem]. Dla czego ma być obowiązkiem dobrej żony przebaczać, skoro jej nieprzebacza nikt, ani świat, ani mąż, ani syn własny?

MATKA. Widzisz, natura mężczyzn jest inną, porywy ich są gwałtowniejsze i bez szkody dla ich zdrowia nie mogą być zawsze poskramiane, stąd też im trudniej przychodzi dochować ścisłej wierności. Musimy być wyrozumiałe na ich zboczenia.

ZOFJA [porywczo]. Więc i mama przyznaje mężczyznom prawo do wiarołomstwa? [wstaje].

MATKA [oburzona]. Zosiu, jak ty się wyrażasz. Uznaję tylko potrzebę pewnego wyrozumienia, aby błądzącego poprawić.

ZOFJA [z powątpiewaniem]. Czy właśnie ta wyrozumiałość nie zachęca ich raczej do grzechu?

MATKA [z powagą]. Przeciwnie kruszy ona ich sumienia i w końcu — powracają do żon, znowu kochający i wdzięczni.

ZOFJA [żywo]. Ale i obryzgani cudzymi łzami, błotem, a czasem i krwią! Czy to nieprzeszkadza wam ich kochać? [zrywa się i zaczyna chodzić po pokoju].

MATKA [z zakłopotaniem]. Zosiu! [patrzy na nią z niepokojem]. Tyś tak strasznie podrażniona, że wszystko widzisz...

ZOFJA [głucho]. O tak widzę! [wstrząsa nią dreszcz].

MATKA [kończy rozmowę]. W dziwnym świetle.

ZOFJA [nagle podbiega do Matki, przerywa rozmowę]

w pół-słowa, prosząco] Mamo tak bym chciała ciebie zapytać... o jedno?

MATKA. Pytaj śmiało, pragnę bardzo, uspokoić cię i natchnąć rezygnacją niezbędną w życiu kobiety.

ZOFJA [serdecznie]. Powiedz mi więc mamo, [waha się] jak on... cię całował, nie czułaś jak między wasze usta—wciskały się inne, spieczone i poranione?...

MATKA [przestraszona]. Zosiu!

ZOFJA [pospiesznie]. Pozwól mi skończyć — nie czułaś jeszcze, jak czepiało się ciebie, dwoje rączyn malutkich [robi ruch ręką], a już cheiwył łupu?

MATKA [przestraszona]. Dziecko moje biedne, co tobie?

ZOFJA [porywczo]. Obiecałaś mamo odpowiedź, nie czułaś?

MATKA [siląc się na spokój]. Nie... przeciwnie, doznałam ukojenia, że znowu, choć na chwilę, jestem bliższą ramienia i serca męża.

ZOFJA [chodzi po pokoju w zamyśleniu potym staje przed matką i mówi zwolna]. Jak to dziwnie wpływa zobaczyć coś własnymi oczyma. Przecież to o mamę chodziło, a mama nie nie odczuwała, ja zaś te widma widziałam między wami, widziałam jak rozpychały was i boję się...

MATKA [wstaje i zbliża się do Zofji]. Czego dziecko?

ZOFJA [głucho]. Że je zawsze widzieć będę, gdy was ujrzę w uścisku.

MATKA [żywo]. To chorobliwe halucynacje, Zosiu trzeba się od nich bronić...

ZOFJA [rozpacznie]. Ale czym matko?

MATKA [upominająco]. Modlitwą, dziecko.

ZOFJA Próbowałam... lecz ja się już nawet i modlić nie umiem.

MATKA. Chodź, będziemy się modlić razem [obejmuje ją i pociąga w kierunku obrazu]. Modlitwa zawsze daje nam kobietom siłę przebaczenia i poddania się najcięższej konieczności. [Na słowo konieczność Zofja wyrywa się matce i odstępuje].

ZOFJA. Nie, nie zdołam, zbyt jestem buntu pełną, nie zmuszaj mnie, jeśli nie chcesz... abym bluźniła!

MATKA [przerażona]. Powstrzymaj się zaklinam!

ZOFJA [z przygnębieniem siada wyczerpana na fotelu]. Nie mogę... nie mogę już żyć!... bez miłości i szczęścia!

MATKA [poważnie]. Oprócz miłości Zosiu, jest w małżeństwie jeszcze inne szczęście dla kobiety.

ZOFJA [żywo]. Jakie?

MATKA. Macierzyństwo, pojdziesz jak zostaniesz matką.

ZOFJA [z siłą]. Ja matką?... nigdy! Nie chcę rodzić katów, których natura zmusza siać śmierć i bezcześć słabych a córki skazywać na łamanie w beznadziejnym cierpieniu.

MATKA [ostentacyjnie]. Obywatelskim obowiązkiem kobiety jest dawać życie pokoleniom nowym.

ZOFJA. Aby snuć dalej wątek krzywd nieuniknionych i cierpień bez ratunku?... to raczej zbrodnia!

MATKA [zdumiona]. Skąd ci takie myśli przychodzą do głowy?

ZOFJA. Nie wiem... może z bólu. Od tego wypadku wszystko widzę inaczej, jak gdyby spadła mi z oczu zasłona, albo wstawiono oczy jakieś nowe.

LOKAJ [wchodząc]. Pan Broński pyta, czy może panie widzieć?

ZOFJA drgnęła, w oczach jej mignęła radość, potym ogarnął ją jęk i zmieszanie. Matka zakłopotana milczy.

ZOFJA [porywczo]. Nie! Nie!

MATKA [nagle rozpromieniona do lokaja] Proś pana Brońskiego tutaj. [lokaj wychodzi].

ZOFJA [na razie osłupiała ze zdziwienia, mówi z przestachem]. Do mego pokoju? Mamo, niepodobna!... wstrzymaj-[chce wybiedz].

MATKA [zatrzymując ją]. Musicie się zobaczyć i porozumieć, inaczej w tej rozterce on żonę i szczęście, a ty rozum postradasz.

ZOFJA. A choćby... to już nic nie pomoże.—[Chce się wymknąć. Matka ją powstrzymuje]. Za drzwiami słychać kroki i zapytanie Kazimierza: „Na prawo?”

Głos jego widocznie elektryzuje Zofję, która bardzo wzruszona stoi w naprężonym wyczekiwaniu. Kazimierz wchodzi pośpiesznie i z radosnym porywem wyciąga dłonie ku narzeczonej. Ona na jego widok zesztyniała, ruchem etykietalnym podaje mu rękę, którą on całuje kilkakrotnie, następnie szybko wita Matkę i zwraca się znowu do Zofji.

KAZIMIERZ. Wieki już całe nie widziałem pani.

ZOFJA [bardzo chłodno]. Byłam zbyt cierpiącą, aby gości przyjmować.

KAZIMIERZ [przykro dotknięty]. Czyż ja dla pani jestem tylko gościem?

MATKA [uprzedza odpowiedź Zofji, siląc się na ton żartobliwy]. A ty niegrzeczną gospodynią, bo pan dotąd stoi.

ZOFJA [chłodno]. Owszem, proszę niech pan zechce zająć miejsce.

Wskazuje Kazimierzowi krzesło, a sama siada naprzeciwko niego. Matka podchodzi do biurka i odwrócona przegląda papiery. Kazimierz spostrzega to z zadowoleniem, stara się przybliżyć do Zofji i w ciągu rozmowy ująć jej rękę, którą mu ona usuwa.

KAZIMIERZ. Jakże się pani moja miewa?

ZOFJA [oschle]. Nie źle.

KAZIMIERZ [z serdecznym wyrzutem]. Niedobra, tak mnie dręczycie oddaleniem od siebie?

ZOFJA [z wysiłkiem]. Nie mogło być inaczej...

KAZIMIERZ [serdecznie]. Pojmuję, że po tak nagłym rozbiciu kryształowo-czystej nieświadomości życia, potrzeba pani czasu na pogodzenie jej szlachetnych pojęć z wyrozumiałością, jakiej niestety wymagają ludzkie słabości.

ZOFJA [z ironią]. Pan sądzi, że takie pogodzenie jest możliwe?

KAZIMIERZ. Z konieczności, ale proszę mnie wysłuchać cierpliwie.

ZOFJA. Słucham.

KAZIMIERZ [z decyzją]. Jeżeli już pani tego nieodzownie wymaga, zgadzam się na odłożenie naszego ślubu. [Matka czyni ruch zadowolenia i cicho wysuwa się drzwiami na prawo]. Gdy pani każe, nawet wyjadę i czekać będę cierpliwie, aż sama pojmiesz jakąbyś niesprawiedliwość wyrządziła, łamiąc mi życie, odbierając szczęście dla tego tylko, że świat nie doścignął jeszcze ideału czystej sprawiedliwości, nie wynalazł sposobu rozplątania wszystkich smutnych powikłań uczuć ludzkich.

ZOFJA [słucha w zamyśleniu, jakby pod urokiem, a potem mówi pół głosem do siebie]. „Najśliczniejsza muzyka, którąby i do piekła zaprowadził“..... [Kazimierz patrzy na nią zdziwiony, a ona jakby się ocknęła, zrywa się i mówi z mocą]. Ale ja nie chcę piekła dla siebie, a nieczemności dla pana...

KAZIMIERZ [zrywa się także i mówi z odcieniem ironji]. Znajdujesz wznioślejszym karać mnie za winy niepopelnione i których mogę nie popełnić nigdy.

ZOFJA [porywczo]. Czy jesteś pan pewien, że możesz?

KAZIMIERZ. Mogłbym ci przysiąc.

ZOFJA. Zbyteczne, w żadne przysięgi już wierzyć nie zdolnam!

KAZIMIERZ. Ja też nie składał ci przysięg, tylko powiem, że dziś maczej już patrzeć zaczynam na problemat jedynakiej moralności, niejedno wydaje mi się słusznym... potrzebnym.

ZOFJA [przerywa wzruszona]. Nie mów pan... po co... nie mogłabym uwierzyć... choć... choć... takbym chciała.

KAZIMIERZ [z radością]. Chciałabyś?! oh! jedyna moja, nie broń się uczuciu, dla czego uwierzyć nie możesz jeśli chcesz?

ZOFJA. Pod jadłem wszczepionej mi niewiary, tężeje każde poruszenie serca. Gaśnie wszelka jasność i nie widzę żadnego promyka, którym mogłabym się kierować.

KAZIMIERZ [z siłą]. A miłość nasza? zawierz jej a rozświetli ona mroki, które cię gnębią. Nie oddalaj mnie od siebie pozwól mi leczyć twój ból i kość zwątpienie a przekonam cię

ZOFJĄ [z wysiłkiem]. Nie, nie... nie mogę, [czyni kilka kroków jakby uciekać chciała].

KAZIMIERZ [zastępuje jej drogę]. Nie odtrącaj mnie. A gdy złączeni pójdziemy w życie, wróci wiara twoja. Nie ta dziecinna i krucha, bo z niewiedzy powstała, ale świadoma i hartowna, gdyż na opoce poznania oparta. Zaufaj! [Wyciąga do niej ramiona].

ZOFJA drżąca ze wzruszenia milczy, ale się nie cofa gdy Kazimierz ją obejmuje, dopiero kiedy dotyka jej ust, z krzykiem. „Oh!“ wyrzywa mu się gwałtownie, odbiega kilka kroków i czyni ruchy jak gdyby odpychała kogoś od siebie z wyrazem wielkiego przestachu.

KAZIMIERZ [prerażony]. Co tobie ukochana?

ZOFJA [Na dźwięk jego głosu wzdryga się i woła]. Odejdź.. przez litość odejdź! [Chwieje się na nogach, Kazimierz pod biega, aby ją podtrzymać, ona znowu uchyla mu się i woła gwałtowniej]. Odejdź... odejdź pan proszę.

Kazimierz pozostaje bezradny. W chwili gdy Zofja woła „odejdź“, wchodzi Kobieta-Lekarz, zbliża się do Zofji, bierze ją za rękę i prowadzi do kanapki. Kazimierz po krótkim wahaniu odchodzi.

KOBIETA-LEKARZ. Proszę usiąść spokojnie.

Podchodzi do toalety, wlewa do kubka wodę i krople podaje Zofji, która machinalnie pije.

KOBIETA-LEKARZ [siadając przy Zofji]. Musi pani koniecznie przebywać na świeżym powietrzu. Bez słońca i ruchu, żadne środki nie zdołają nerwów opanować.

ZOFJA [wybucha gorzkim śmiechem, potem zrywa się z szeslonga]. Ha! ha! Słońca na rozpacz! Czy ono zdoła wyzwolić mnie z mąk, w których dusza szarpie się beznadziejnie? Odegnąć widziadła, co mi szczęścia bronią!... Ja tak żyć dłużej nie mogę... nie chcę... Jeżeli pani chce mnie leczyć, to niech pani moją duszę leczy, bo ona stokroć więcej cierpi niż ciało!

KOBIETA-LEKARZ [z życzliwym zainteresowaniem]. Co pani sprawia ból tak wielki?

ZOFJA. Te okrutne prawa, które zmuszają mężczyzn do wiarołomstwa i unieszczęśliwiania biednych dziewcząt.

KOBIETA-LEKARZ. Ależ takich praw niema a nawet dążenie do czystej i stałej miłości jest instynktem natury.

ZOFJA [zdziwiona, z zastanowieniem]. Więc mężczyzna...

KOBIETA-LEKARZ. Korzystający z prostytucji popełnia występki przeciw etyce, staje się uczestnikiem zła, wyzysku i poniżenia godności ludzkiej w kobiecie. Podtrzymuje ciężką plagę społeczną, a według określenia jednego z myślicieli i jedną z największych hańb mężczyzny.

ZOFJA. Dla czegoż dzieją się rzeczy tak straszne?

KOBIETA-LEKARZ. Dla tego, że ludzie życie płciowe zmieniają na źródło rozkoszy, frymarkę lub zabawkę, a pragnienie jego podniecając w sobie nadmiernie, przynoszą tym szkodę naturze.

ZOFJA [pytając]. Czyż mogliby się od tego powstrzymać?

KOBIETA-LEKARZ. Rozumem i wolą podniecenie to opanować można i należy.

ZOFJA [radośnie]. Marynki mogłyby więc nie istnieć!

KOBIETA-LEKARZ [zdziwiona]. Marynki? [orjentując się]. Niewątpliwie, istnienie ich to zbrodnia! [przypominając sobie]. Ale ja dotąd nie miałam sposobności, zdać pani sprawy z odwiedzin u tej nieszczęśliwej kobiety.

ZOFJA [z zakłopotaniem i wdzięcznością ścisną rękę Kobiety-Lekarza]. A ja podziękować serdecznie za tyle okazanej dobroci...

KOBIETA-LEKARZ [przerywa]. Drobnostka, o której wspominać nie warto. Stan chorej istotnie ciężki, kwestja to dni kilku zaledwie, lecz powrót do rodziców dał jej wiele pociechy. Dziecko zdrowe, wątłe jednak i potrzebuje czujnej opieki.

ZOFJA [nieśmiało, z zakłopotaniem]. Czy nie było pani przykro udzielać porady... Marynce?

KOBIETA-LEKARZ. Dla czego? [patrzy hystro na Zofję, która zmieszana milczy]. Winy spowodowane przez ciemność i nędzę nie wzbudzają przecież wzdardy, lecz litość i raczej.. wyrzuty sumienia.

ZOFJA [zdziwiona]. Wyrzuty sumienia?

KOBIETA-LEKARZ. Każda z nas przecie ponosi część odpowiedzialności za bierność z jaką ogół kobiet toleruje swawolę mężczyzn.

ZOFJA [żywo]. Mogłyby one swawoli tej nie tolerować?

KOBIETA-LEKARZ [z siłą]. Niepowinny!... Tolerancja ich bowiem staje się jedną z przyczyn niedoli tych dziewcząt a w następstwie i nieszczęść jakie prostytucja powoduje.

ZOFJA. A matki rodzin nie mają dla nich nawet litości!

KOBIETA-LEKARZ. Wszakże od wieków wypaczano moralne pojęcia kobiet, ucząc je przebaczać mężczyźnie, gdy on bawiąc się hańbi, a kamienować kobietę skrzywdzoną i cierpiącą.

ZOFJA [porywczo]. To pani nie uznaje, aby Marynki były koniecznością?

KOBIETA-LEKARZ. Naturalnie, że nie uznaje. Ongi poczytywano za konieczność i niewolnictwo, bez którego obchodzimy się obecnie.

ZOFJA [z radością]. I przypuszcza pani, że kiedyś Marynki przestaną stanowić niezbędne zabezpieczenie dla nas?

KOBIETA-LEKARZ. Ależ one i dziś go nie stanowią, przeciwnie są ustawiczną grozą zarazy dla nas i dzieci naszych.

ZOFJA [zdumiona]. Za-ra-zy?

KOBIETA-LEKARZ. Wielu ciężkich, nieuleczalnych a dziedzicznych chorób, którymi natura przestrzega ludzkość, by dążyła do osiągnięcia wyższego stopnia czystości obyczajów.

ZOFJA. Dla czego więc matki każą nam wierzyć, że porywy natury męskiej poskromionymi być nie mogą?

KOBIETA-LEKARZ. Bo niegdyś, aby uspić sumienia, wysnuło fałszywą teorię, że wstrzemięźliwość płciowa, źle się odbija na zdrowiu mężczyzn, staje się przyczyną ich chorób. Jednak historia medycyny nie zna żadnej choroby wynikającej z wstrze-

mięźliwości, która nie tylko dla kobiet, ale i dla mężczyzn jest możliwą i zgodną z prawami fizjologicznymi.

ZOFJA [żywo]. Cóż jednak zmusza żony do znoszenia tej ohydy?

KOBIETA-LEKARZ. Widocznie wolą cierpieć, niż walczyć, myśleć, zdobyć się na czyn i opór. Wygodniej im rozgrzeszać swoje lenistwo i tchórzostwo teorią o nieugiętej konieczności.

ZOFJA. Przecież miłość dzielona, brudna, cudzą krzywdą splamiona, ze spójni duchowej odarta jest wstrętną?

KOBIETA-LEKARZ. Zapewne, lecz one wynagradzają to sobie upajaniem się zmysłową podniętą, osłoniętą dyskretnie szatą marzeń i flirtu. Zresztą tak długo nieufano umysłom i charakterom kobiecym, że nauczyły się one same sobie nie wierzyć, same siebie nie cenić.

ZOFJA. Chyba nie wszystkie...

KOBIETA-LEKARZ. Bywają inne, które znowu wolą kosztować w bezwładzie rezygnacji i zobojętnienia na wszystko. Działa to wprawdzie dobrze na nerwy, ale i obniża wartość jednostek.

ZOFJA. Pani jest bardzo surową.

KOBIETA-LEKARZ. Niestety nie, wszędzie zdarzają się wyjątki, ale jakże one nieliczne, a ogół! [czyni ruch lekceważenia]. I pani przecie uwierzyła, że lilje naszych ognisk rodzinnych wyrastać tylko mogą na bagnie upodlenia siostr swoich i panią nie oburzyła zasada okupywania spokoju jednych bezceścią drugich?

ZOFJA. Oburzyła do głębi duszy, ale...

KOBIETA-LEKARZ [goręcej]. Hańba tych ubogich i ciemnych nie pali ci czoła? nie czujesz się zbryzganą ich łzami?... Znieważoną pręgierzem, pod którym one stoją?

ZOFJA [dobitnie]. Nie mogłam i nie chciałam żyć z myślą, że Marynki są koniecznością, a miłość musi być dzieloną i brudną!

KOBIETA-LEKARZ [z odcieniem życzliwej serdeczności]. Tak to chce pani żyć, aby współdziałać w usunięciu tej strasznej krzywdy!

ZOFJA [żywo]. Miłości dzielonej?

KOBIETA-LEKARZ. I sprzedanej, oraz jej różnorodnych ofiar.

ZOFJA [z wybuchem radości]. Precz więc ze zmorą krzywd koniecznych! Możliwą jest miłość czysta, wierna, możliwym szczęście!... Warto żyć na świecie!

KOBIETA-LEKARZ [wstaje, zbliża się do Zofji i pyta z odrobiną ironji]. Pani nawet nie przypuszcza, aby po za miłością erotyczną istnieć mogło szczęście i cel życia godny?

ZOFJA. Cel? jaki?

KOBIETA-LEKARZ. Naturalny, wszelkim istnieniom wspólny, doskonalenie otrzymanej w spuściznie cząstki ogólnego dorobku.

ZOFJA. Nie rozumiem dobrze, co pani ogólnym dorobkiem nazywa?

KOBIETA-LEKARZ. Choćby i tę iskrę poczucia krzywdy i potrzeby odporu, która wyrabiała się przez szereg pokoleń, zanim w pani wybuchnęła żywiołowo.

ZOFJA [ździwiona]. Moje oburzenie miałoby od innych pochodzić?

KOBIETA-LEKARZ. Niewątpliwie, skoro nie było wszczepiane wychowaniem, ani też przez panią w sobie wyrabiane. Dorobek taki należy szanować i przetwarzać w indywidualność własną.

ZOFJA. Po co?

KOBIETA-LEKARZ. Aby krzywdy usuwać. Za omyłki lub zaniedbania tych, którzy nas poprzedzili, my obecnie cierpimy, a z kolei za każdy nasz błąd lub słabość, kiedyś w przyszłości czyjaś łza popłynie, czyjeś serce w męce konać będzie.

ZOFJA [żywo]. Nie chcę, aby ktoś za mnie cierpiał. Naucz mnie pani co mam czynić, aby tego uniknąć?

KOBIETA-LEKARZ [żywo]. Uczyć tego niepodobna! Przewodnią ideę dla swego życia sami wysnuć musimy, z tego co nas zachwyca, boli i oburza!

ZOFJA. Czyż jednak miłość nie jest najważniejszym celem życia kobiety?

KOBIETA-LEKARZ. Erotyczna — nie.

ZOFJA. Dla czego?

KOBIETA-LEKARZ. Nie rozwija ona wszechstronnie nasze indywidualności, nie daje jej zaznać pełni życia, lecz tylko chwilowe złudzenie szczęścia, którym natura dąży do osiągnięcia dobra gatunku.

ZOFJA [z przykrym zdziwieniem]. Pani twierdzi, że miłość jest szczęścia złudzeniem?

KOBIETA-LEKARZ. Bo tak jest rzeczywiście i czyni ona równowagę naszą zależną od cudzej, dobrej lub złej woli. Pro-

mienieć pod czyimś uśmiechem, zastygać pod chłodem, nie jest rozkoszą dla natur samoistnych, lecz raczej bolesnym upokorzeniem. Zresztą miłość trwa krótko.

ZOFJA [z przestraczem]. Każda... Czemu?

KOBIETA-LEKARZ. Tłumi ją naturalnie konieczność przesytu, gdy cel swój osiągnie.

ZOFJA. A tym celem?

KOBIETA-LEKARZ. Utrzymanie ludzkiego gatunku.

ZOFJA [z zawodem]. Przed chwilą wróciła mi pani chęć do życia, a teraz gasi jego pochodnię!

KOBIETA-LEKARZ. Nigdy, usiłuję wskazać najbardziej promienną.

ZOFJA. Lecz tak daleką, zimną, niedostępną! Nie zostawiaj mnie pani w ciemnościach beznadziejnych!.. Powiedz, co dało ci szczęście aż tak wielkie, że miłość wydaje ci się taką małą... taką podrzędną...

KOBIETA-LEKARZ [Czyni ruch wyniosły i chwilą mierzy oczyma Zofję].

ZOFJA [błagalnie]. Daruj pani moją śmiałość, ale ja tak strasznie cierpię... powiedz, błagam.

KOBIETA-LEKARZ [z serdecznym uśmiechem przygarnia Zofję ramieniem i postępując kilka kroków mówi miękko]. Pytasz dziecię co mi szczęście dało? [Siadają Kobieta-Lekarz na fotelu, Zofja obok niej na niskim taborecie pozostaje wpatrzona w nią]. Ukochanie idei przewodniej, praca dla celu, który nie umiera i nie zawodzi, nawet gdy go osiągnąć nie zdołamy. Szczęście—to czuć się ogniwem wszechświata, wiedzieć do czego dążymy, pragnąć, pokonywać, zdobywać, dojść do świadomości swych sił, żyć pełnią ich rozwoju.

ZOFJA [słucha z uwagą i mówi jakby do siebie]. Dziwny ogrom, aż straszny...

KOBIETA-LEKARZ. Oh! nie, to pancierz od zawodów i cierpień, które zwykle ludzi łamią.

ZOFJA. Doprawdy?

KOBIETA-LEKARZ. Pod jego osłoną nie straszny głód i ból, ani zerwanie węzłów krwi, bo choćby nawet konało nam dziecię, choćby odstępili najbliżsi, a kamienie rzucali ci, dla których dobra pracujemy, to jeszcze czując, że zgodnie z przekonaniem, o ideę i dla idei walczymy, ciosy i męki nas nie zmogą, gdyż wiemy, że krew co broczy, jest także sieją przyszłości.

ZOFJA. I ta przyszłość daleka może tak silnie pociągać?

KOBIETA-LEKARZ. Przestaje już być daleką, gdy chcemy ją tworzyć. Nie pytamy wówczas dla czego żyjemy. Możemy błądzić, giąć się, mogą nas przytłaczać do ziemi ludzie, lub zawistne losy, lecz wiecznie żywa potęga idei przewodniej, dźwigać nas będzie z własnego upadku, dozwoli zrywać narzucane pęta.

ZOFJA. Zrywać a potem co dalej?

KOBIETA-LEKARZ. Zasady swej idei—ryć choćby w skale serce zastygłych, utrwałać w miłkim piasku niewyrobionych charakterów, żłobić kroplą po kropli w opornym gruncie nierozwiniętych umysłów; gdyż staje się to już potrzebą, warunkiem życia naszego, życiem samym.

ZOFJA. I zdoła to wypełnić osamotnienie serca?..

KOBIETA-LEKARZ. Ależ dopiero właśnie przez umiłowanie idei przestajemy być samotnymi. Ci, którzy jedno myślą i chcą jednego, zaczynają rozumieć, co zawiera określenie „bliźni”—„zespół” gdyż odczuwają, że wspólność idei to między ludźmi węzeł najsilniejszy.

ZOFJA [żywo]. Nawet od miłości?

KOBIETA-LEKARZ. Silniejszy i trwalszy od niej, bo tworzy go jedność przekonań i odczuwań ducha a wzmacnia każda praca wspólna, bo dla jednego celu podjęta.

ZOFJA (porwana). Oh! taki zespół silny musi mieć swój odrębny urok...

KOBIETA-LEKARZ. Przepotężny! obcując z ludźmi, którzy wielkie idee szerzą, wyczuwamy, jak pulsuje tętno cywilizacji, wytwarza dostrzegalnie nowy ustrój społeczny, który kiedyś zniesie krzywdy i usunie bezprawia dziś najsilniej gnębiące ludzkość.

ZOFJA. Co za nowe światy... i odmienni ludzie!

KOBIETA-LEKARZ [z siłą]. Wierz mi pani, żaden spazm miłosny nie może dać rozkoszy takiego upojenia jak świadomość, że czyn nasz staje się drobiną w budowie wszechświata, a myśl nasza współrzeźbi nowe tory dla jego przyszłości.

ZOFJA [wzruszona, olśniona]. Jakież pani nieznanne widnokręgi myśli moje otwiera!... [z porywem garnie się do Kobiety-Lekarza]. Oh! to chcę żyć i budować świat czysty, promienny — z tobą pani.

(Kurtyna spada).

AKT IV

...przyjdzie na was wtórej przemiany
godzina — i znowu podacie im
ręce — i serca ich konające zbawicie
miłością — i na zawsze staniecie
się jako siostry ich, równe im na
ziemi i w niebie”.

Zyg. Krasiński.

(Niedokończony poemat „Sen“, str. 35).

VI TXA

IV

W kilka dni potem do saloniku rodziców Zofji wchodzi kuzynki: Aniela, Wanda, Ludwika a za niemi lokaj.

ANIELA [rozgląda się i pyta lokaja] Pań niema?

LOKAJ. Panienska wyszła do doktora a starszej pani zaraz powiem, że panie przyszły [wychodzi na prawo].

Ludwika i Wanda siadają na fotelach, Aniela poprawia kapelusz przed lustrem. Wszystkie bardzo elegancko ubrane.

WANDA. Nasza misja jest trochę drażliwą.

ANIELA [mówi zawsze bardzo żywo]. Nie takie już załatwiałam a was zabrałam tylko dla zajęcia ciotki.

WANDA. Znowu role rozdajesz?

ANIELA. Bynajmniej, tylko chciałabym sprawę prędko załatwić, bo mi chłopaka żal.

LUDWIKA [z żartobliwym uśmiechem]. Chyba nie tak bardzo, kiedy go chcesz oddać innej! ..

ANIELA [niezadowolona]. Żart wcale nie dowcipny! Kazimierz jest siostrzeńcem mego męża a żal mi go, bo to dobry chłopak. Powiadam wam, urodzony pantofel [śmieje się].

LUDWIKA [z ironią]. A Zosia takiego skarbu ocenić nie umie [śmieje się].

ANIELA. Rezultat dziwacznego wychowania. Dziewczyna z natury sensatka, siedziała wiecznie w książkach. Ciotka każała się jej ciągle czegoś uczyć, nabrała więc książkowych wyobrażeń o życiu, rozegzaltowana poezją, bohaterami historycznymi...

WANDA [spozstrzegając Matkę, wchodzącą drzwiami na prawo, wstaje żywo]. Dzień dobry, ciotuni!

ANIELA. Ach! kochana cioteczka [podbiega do niej i całuje w rękę].

MATKA. Witam! witam! [wszystkie siadają]. Pocziwie z was kuzyneczki, kiedyście przyszły nas odwiedzić.

ANIELA. Niepokoi nas zdrowie Zosi. Jak się ona miewa?

MATKA [spoglądając nieufnie na mówiącą]. Niedobrze.

LUDWIKA. Rana dolega?

MATKA. Rana już zagojona, ale nerwy jej nie mogą się dotąd uspokoić.

WANDA. Bo też to straszny wypadek z tą warjatką.

MATKA [z ulgą widoczną]. Okropny!

ANIELA. Ale będziemy mogły widzieć Zosię?

MATKA [z przymusem]. Naturalnie, jak tylko powróci z elektryzacji.

W tej chwili wchodzi Zofja w kapeluszu, podniecona, oczy błyszczące, policzki nieco zarumienione, zobaczywszy kuzynki, zatrzymuje się zdziwiona, one wstają żywo i witają się z nią serdecznie.

ANIELA [przyglądając się jej ostentacyjnie]. Mówią: chora! niewidzialna! a panienka wygląda jak róża. Cóż to znaczy? Wstydz się, kobieta nigdy nie powinna przyznawać się do choroby, kiedy jest kochaną.

ZOFJA [oschle]. Szkoda, że choroba tej racji stanu nie uwzględnia.

ANIELA. Wyglądasz tak ładnie, że nie masz powodu do skazywania Kazimierza na usychanie z tęsknoty.

ZOFJA [drgnęła słysząc imię narzeczonego, lecz odpowiada tym samym tonem]. Ja też nie skazuję.

LUDWIKA. Wszakże niechcesz go widzieć?

ZOFJA. To naturalne, że będąc chorą, potrzebuję spokoju.

ANIELA. Lecz nienaturalne, aby odwiedziny narzeczonego miały cię niepokoić... w przykry sposób.

ZOFJA [wyniosłe]. Daruj, nie jestem us pobioną do żartów. [do Wandy serdecznie]. Jakże się miewają twoje dzieci, podobno chorowały?

WANDA. Już zdrowe, ale jeszcze nie wychodzą. [Aniela i Ludwika zamieniają porozumiewawcze spojrzenia z Matką, która czyni ruch, jakby mówiła „z nią tak zawsze”].

LUDWIKA. Pozwoli mi ciocia obejrzyć matinki do wyprawy Zosi, podobno śliczne, [zwracając się do Zofji] jeśli ci to nie sprawi przykrości, Zosiu?

ZOFJA [zdziwiona]. Ale żadnej... przeciwnie.

LUDWIKA [wstając]. Więc ciocia będzie tak dobrą?

MATKA [wstaje niechętnie]. Kiedy sobie tego życzysz chodźmy [wychodzą].

ANIELA [stając przed Zofją, z determinacją]. A teraz, moja panno, musimy rozmówić się szczerze.

ZOFJA. O czym?

ANIELA. Dla czego chcesz zerwać z Kazimierzem? Wiemy o wszystkim, lecz spotkanie z tą kobietą nie może być przecież istotną przyczyną zerwania?

ZOFJA. Więc was dziwi, że nie chcę zawierać małżeństwa pod grozą, iż to szczęście skończyć się musi koniecznie i ja kiedyś mogłabym spotkać drugą Marynkę... a dziecko moje mieć także siostrę, która z głodu kradnie!

WANDA [drgnęła i jakby sama siebie uspakajając, mówi] To przecież nadzwyczajny wypadek!

ZOFJA. Zdrada męża?

Wanda milczy.

ANIELA [pośpiesznie]. Naturalnie, tylko widzisz nie trzeba zaraz zdradą nazywać niektórych rozrywek męskich i należy na nie patrzeć przez szpary.

Podczas odpowiedzi Anieli wróciła Ludwika i stanęła za krzesłem Zofji

LUDWIKA [szydlerczo]. Mężczyznom bowiem flirt nie wystarczy, za mdły jest dla nich, muszą go sobie urozmaicać trochę ostrzejszym sportem!

ANIELA. Zresztą dziś już żadna niewiasta w wierność męża nie wierzy i o nią nie dba.

ZOFJA [żywo]. Teraz wy mi powiedzcie, czy taka filozofja przyszła wam łatwo? bez bólu i wstrętu, czy nie wsączyła wam w duszę gryzącego jadu? [chwila ogólnego milczenia].

WANDA [z porywem]. Otóż ja ci się przyznam, że długo nie mogłam zdobyć się na tę, jak nazywasz filozofję. Po pierwszej zdradzie męża...

LUDWIKA. Dodaj, o której ty się dowiedziałaś.

WANDA. Chciałam się rozwodzić.

ZOFJA [z zainteresowaniem]. I cóż cię powstrzymało?

WANDA. Przekonano mnie, że dla dobra dzieci powinnam była wyrzec się szczęścia osobistego... Znosić wszystkie udręczenia takiego pożycia, byleby ich nie pozbawiać rodziny...

ZOFJA [oburzona]. Dla dobra dzieci?... rodzina oparta na zdradzie i kłamstwie?...

ANIELA. Eh! dramatyzujecie obie. Trzeba umieć sobie radzić i do katastrof niedopuszczać.

LUDWIKA. Albo też je umiejętnie wyzyskać. Mnie każda fantazja męża, o której się dowiem, musi przynieść dobre odškodowanie: podróż zagranicę, rozrywki lub stroje kosztowniejsze, a zawsze spokojne znoszenie przypalonych pieczeni Jędrzejowej.

ANIELA [oburzona]. Jak można takie rzeczy mówić!

LUDWIKA. Cóż chcesz, mam odwagę słów, jak inne... czynów.

ANIELA. Nie słuchaj jej Zosiu, mężczyźni nie są znowu tacy źli.

LUDWIKA. Przeciwnie... bywają nawet bardzo mili... szczególnie na krótko... i przy częstej zmianie.

ANIELA. Nieznośną dziś jesteś.

LUDWIKA. Dla czego? Wszakże jeśli mamy godzić Zosię życiem takim, jakie ono jest w rzeczywistości, trzeba przynajmniej wskazać jej wszystkie dobre następstwa... złego. [Pochyla się nad Zofją i kładąc rękę na jej ramieniu mówi dalej serdecznie a potem z goryczą]. Biedne dziecko, wypadek zdarł ci z oczu strzępek przepaski utkanej przez troskliwość macierzyńską i ukazał zaledwie jeden ból życia. A tych bólów tyle, że nie możesz przewidzieć, czy ta krótkotrwałość miłości męskiej, która cię dziś przeraża, nie stanie się kiedyś wybawieniem od wstrętnego fizycznego przymusu, jaki w nieświadomości przyjmiesz, lub może zapewni ci w przyszłości upragnioną swobodę, jeśli życie roznieci w tobie porywy, przejmujące cię dziś takim wstrętem.

ZOFJA [wyrywa się z objęć Ludwiki i wstając, woła z silnym oburzeniem]. I wy, wy mnie chcecie godzić z życiem w takich warunkach?

ANIELA. Cóż możesz innego uczynić?

WANDA. Świata nie przerobisz, poddać się musisz jak my wszystkie.

ZOFJA. A pomyślałyście kiedy, że tę waszą wyrozumiałość małżeńską biedne, ciemne dziewczęta opłacają bezczęścią, a w końcu i nędzą? Czyście się zatroszczyły kiedy o nie i ich dzieci, które z głodu kraść muszą?

ANIELA. Mnie najmniej stawiać możesz zarzut podobny. Należę do Towarzystwa opieki nad matkami, Ochrony kobiet, Wincentego a Paulo, jestem opiekunką Magdalenek, złobka, szwalni, przytułków, sprzedaję na wszystkie możliwe cele, i zdrowie tracę, biegając przy ciągłym urządzeniu koncertów dobroczynnych.

LUDWIKA [z ruchem żartobliwym]. Aż tyle! Szkoda jednak, że nie możecie nadążyć z naprawianiem tego, co oni zepsują.

ZOFJA. Czyż nie skuteczniej zapobiegłoby złemu, gdybyście wymagały od mężów waszych istotnej wierności, nie zniżając się do obłudnego wyrozumienia, nie godząc, by wasze ogniska kalał brud za domowy, otaczało bagno zepsucia tuż za progiem.

LUDWIKA. Gdybyż tylko za progiem!

ANIELA. Wymagań takich niktby nie wypełnił i wniosły by one tylko waśnie i skandale do rodzin.

ZOFJA. Wolicie przykładać rękę do rozbicia innych rodzin byle tylko dom własny od waśni uchronić?

ANIELA [zdziwiona]. Jakich rodzin?

ZOFJA. Tych, których ojcowie i narzeczeni w kieliszku topią wstyd i hańbę.

LUDWIKA [żywo]. Nie my je rozbijamy, lecz oni.

WANDA. Zosiu, nie znasz życia, nie wiesz, że w domu najmniej możemy. Z najbliższymi najtrudniejsza walka, ja jej próbowałam to wiem, że prędzej, czy później ustąpić trzeba.

ANIELA. Niepodobna walczyć z tym, co od wieków tkwi w obyczajach, co sankcjonuje opinia publiczna i prawo.

WANDA. Trzebaby kodeks zmienić.

ZOFJA [z siłą]. To go zmienić! i nie poświęcać zasad etycznych wygodzie własnej i lenistwu pod pozorem ofiar szczytnych, a waśnie!... [z ruchem lekceważenia], niech światem wstrząsną, jeśli to konieczne dla obrony czystości rodziny!

LUDWIKA [z ruchem podziwu]. Wiesz Zosiu że cię nie posądzałam wcale o podobne poglądy!

ZOFJA. Więc i ty uznajesz, że niema nic do zrobienia w tym kierunku?

LUDWIKA. Przeciwnie, lecz za ciężkie to zadanie na skrzydła nasze... motyle. Nie czuję się też powołaną do reformowania świata, „wolę sobie kupić grajka” i uciec wczystyświat tonów, który tak idealne daje zapomnienie...

ZOFJA [porywczo]. Dla czego jednak wolicie cierpieć ustępując, niż walczyć ze złem? W walce przynajmniej podtrzymuje myśl, iż cierpienie nasze przyniesie pożytek ogółowi, przy czyni się do rozwoju dobra, postępu, kultury...

ANIELA [rozpromieniona chwyta Zofję za rękę]. Postęp! kultura! Przyznaj się dziewczyno, czy ma on niebieski kołnierz, czy zielone wypustki?

ZOFJA [zdziwiona usuwa rękę]. Nie rozumiem co chcesz przez to powiedzieć.

ANIELA. No — student uniwersytetu, czy politechniki?

ZOFJA [żywo z oburzeniem]. Sądziś więc, że ja się na jedną własną myśl zdobyć nie potrafię i nawet oburzenie na krzywdę, która mnie spotkała, musi być czymś echem?

ANIELA. Więc doprawdy nie podkochujesz się w żadnym studencie?

ZOFJA [ostro]. Proszę oszczędzać dowcipu, który do mnie stosowany być nie może.

ANIELA [uradowaną]. Oh! jaka mała zła, ale to dobrze, bardzo dobrze.

LUDWIKA. Dla czego jednak tak długo wytrzymujesz Kazimierza?

ZOFJA. Nie chcę pośpiesznie rozstrzygać o naszej przyszłości.

ANIELA. Zmiłuj się pośpiesznie, po tygodniach wyczekiwania.

WANDA. Wszakże nie potrzebujesz odrazu wypowiadać ostatecznej decyzji, ale pozwól mu przyjść, porozmawiać..?

ZOFJA [z wahaniem]. Gdyby tylko o rozmowę chodziło...

ANIELA [wpadając w słowo]. To?

ZOFJA. Nieodmówiłabym jej.

ANIELA [ucieszona]. Nareszcie! — zaraz się stawi.

ZOFJA [z przest్రachem]. Oh! jeszcze nie dziś.

ANIELA. Zaraz... natychmiast, biegnę... lecę... adieu. [do wchodzącej matki] Do widzenia cioteczko!

MATKA. Cóż tak nagle, zatrzymaj się.

ANIELA. Nie mogę, idę po Kazimierza [wychodzi].

MATKA [z uśmiechem zadowolenia]. Zawsze żywa jak iskra.

LUDWIKA [żartobliwie]. W przelocie [spogląda na zegarek] ale to już trzecia.

WANDA. Muszę się spieszyć do moich dzieciaków.

LUDWIKA. Podwiozę cię, gdyż jadę stąd na próbę naszego kwartetu.

WANDA. Jak to dobrze, więc pożegnamy Ciocię. [wstaje, zegnają się i wychodzą, Zofja je wyprowadza].

Matka okiem biegłej gospodyni przegląda pokój, porządkuje rozrzucone albumy na stole i poprawia kwiaty w żardinierce.

OJCIEC [wchodzi z gazetą w ręku]. Kto był u was?

MATKA. Aniela z siostrami.

OJCIEC. Dla czego tak prędko odeszły?

MATKA. Bo Aniela wymogła na Zosi zgodę na widzenie się z Kazimierzem.

OJCIEC [z zadowoleniem]. Nareszcie! [rzuca gazetę na stół i zaciera ręce]. Zuch kobieta, ale ty to tak opowiadasz, jak gdybyś się nie cieszyła, że skończy się nareszcie ta romantyczna historia i powrócimy do normalnego życia.

MATKA [smutnie]. Bo nie wiem jak się skończy.

OJCIEC [zdziwiony i zaniepokojony]. Cóż ty znowu przypuszczasz?

MATKA. Że Zosia jeszcze sama nie wie na co się zdecydować.

OJCIEC. Trzeba było na nią wpłynąć.

MATKA. Łatwo powiedzieć. Zosia uspokoiła się znacznie, szczególnie po każdej bytności u doktorki, jak gdyby nowe życie w nią wstępowało. Pytania jej dowodzą, że się w jej główce coś waży i kombinuje, lecz każdy zwrot do Kazimierza i własnej przyszłości, wymija i zbywa milczeniem, lub łzami. Nie wróży to nic dobrego.

OJCIEC [pogardliwie]. Ty bo sobie nawet z własną córką nie umiesz dać rady.

MATKA [z obrazą]. A więc jak zawsze ja winną jestem!

Za sceną słychać głosy.

LOKAJ. Tak iść nie można, trzeba się zameldować.

BARTŁOMIEJ. Powiadam durniu, że wejść bez twego mel-
dowania.

OJCIEC [woła]. Janie, co tam takiego?

Lokaj wchodzi przytrzymując ręką drzwi, za nim przemo-
cą wciska się Bartłomiej, ubogo, lecz schludnie ubrany, trzy-
ma za rękę małą dziewczynkę. Chwila ogólnego zdziwienia
i zaniepokojenia.

BARTŁOMIEJ [wskazując ręką lokaja]. Niech ten wyjdzie
a zaraz powiem po co przyszedłem.

Ojciec daje znak lokajowi, który wychodzi.

BARTŁOMIEJ [występuje na środek pokoju, dziewczynka
chowa się za krzesło, a on mówi głucho]. Jestem ojcem Ma-
rynki.

Ojciec mimowolnym ruchem cofa się, ale przybiera posta-
wę wyniosłą. Matka zbliża się do męża.

BARTŁOMIEJ [czyni ruch lekceważący i mówi uspakajająco].
Nie bójcie się [dalej już z tłumionym wrzieniem]. Miałem się
mścić! Przysięgałem sobie, że gdy nareszcie dowiem się kto
jesteś... nie zostawię ci gnata całego! [Ojciec porywa się ku
Bartłomiejowi, lecz żona chwyta go za rękę i zatrzymuje]. Ale
po jej zemście rzekłem sobie, że jeśli mimo to coś zrobił, masz
serce pod żebrzem, toś ukarany! a jeśli nie, to szkoda mej duszy
do ena gubić, [z rozpazą] bo memu dziecku już nic nie pomoże.
Przyszedłem tylko, oddać te djabelskie pieniądze... [szuka po
kieszeniach] bo ja nie Judasz, abym srebrniki brał za duszę lu-
dzką... duszę mego dziecka... dziewczka przecież też człowiek
[rzuca na stół pieniądze].

OJCIEC [głosem zdławionym przez gniew]. Bez komedji.
[z nakazującym gestem]. Zabierajcie pieniądze i wynoście się—
inaczej ze schodów zrzucić każę!

BARTŁOMIEJ [przyskakując z pięściami krzyczy groźnie].
Ze schodów zrzucisz! Ty! zabójco! kacie! Wypluń to słowo bo
ci w gardziel wtłoczę! [Na krzyk Bartłomieja, wbiega Zofja i za-
słania ojca. Bartłomiejowi opadają ręce patrząc na nich i mówi
stłumionym głosem]. I tyś także ojciec!... i córka cię broni! [Co-
fa się, po chwili zrezygnacją]. Ha! zrzucaj sobie! Niżej już nie
spadnę, jak spadłem... przez ciebie [z żalem]. Hańba gryzła
w serce jak robak, więc zalewałem robaka, aż zalałem człowie-
ka [z powracającym gniewem]. Dziś zwierz ze mnie! Zwierz
może być straszny, [ruchem wskazując stół]. Zabieraj pieniądze!

[ogłada się i ruchem ręki wysuwając naprzód dziewczynkę]
i swego... bękarta!

MATKA [z trwogą i nakazem do męża], Tego nie uczynisz!
Wacławie? [Dziewczynka przestraszona czepia się Bartłomieja].

BARTŁOKIEJ. Jakto? przecie dziecko jest pańskim... ma-
tka hodowała lat tyle, gdyś jak szczenię rzucił... ale gdy to bie-
dactwo umarło!

RODZICE ZOFJI [jednocześnie]. Umarła!

ZOFJA. Oh!

BARTŁOMIEJ [wzruszonym głosem]. Tak, umarła.

MATKA [pospiesznie]. Więc wam trzeba pieniędzy.

BARTŁOMIEJ. Nie trzeba! ojciec zapracował jej na trumnę,
jak niegdyś na kolebkę, a bodaj była pieniędzy waszych nie zna-
ła i chleba hańby nie jadła.

OJCIEC [niepewnym głosem]. Dałem na dziecko ..

BARTŁOMIEJ. Zabieraj je sobie, niech oczy moje dłużej nie
widzą tego żywego wstydu moich siwych włosów.

MATKA [z łękiem i oburzeniem]. Weźmiesz Wacławie?

OJCIEC [z wysiłkiem]. Nie chcę wiedzieć o niczym, daję
na to pieniądze.

BARTŁOMIEJ [zaciska pięść, dziewczynkę potrąca i przy-
stępuje o krok. Zofja po słowach ojca cofa się i pozostaje w nie-
go wpatrzona]. Gadaj prawdę nie bierzesz?

OJCIEC [pasuje się ze sobą, nareszcie po ciężkiej chwili
milenia z ruchem odporu odwracając się, mówi]. Powtarzam,
daję pieniądze... mogę dać więcej...

BARTŁOMIEJ [z pasją]. A ja pieniędzy nie wezmę! Czło-
wiek nie zawsze był zwierzem-pijakiem, tylko zjadła go krzyw-
da. A pamiętajcie panowie, że dziś nadeszły czasy, gdy nie tyl-
ko przed sądem pan i chłop to jedno! Skończyło się wasze bez-
karne hulanie, naszym kosztem. My swych dziewczek już więcej
hańbić wam nie damy, będziemy tłuc, tłuc póty, aż uznacie, że
każda dziewczka ma być taka nietknięta [wskazując Zofję] jak twa
córka panie.

OJCIEC [porywa się i groźnie wskazując drzwi, woła]
Precz!

ZOFJA [staje nagle między ojcem i Bartłomiejem i mówi
z wysiłkiem]: Ja wezmę moją siostrę.

RODZICE [jednocześnie ze zdumieniem i oburzeniem]: Jaka
siostrę?!

BARTEOMIEJ [zdumiony]. Co mówisz panienko?

ZOFJA [pewniejszym głosem]. Ze ja siostrę wezmę. [Przystępuje do dziewczynki, pochyla się ku niej i biorąc ją za rękę, mówi]. Chodź maleńka, pójdziemy.

MATKA [ze zgrozą gromiąco]. Zosiu!

OJCIEC [z ruchem zakazu]. Ani mi się waź!

DZIEWCZYŃKA [wrywa się Zofji—ze strachem]. Boję się, boję się... nie chcę...

ZOFJA. Ja cię bronić będę.

BARTEOMIEJ [z niedowierzaniem]. Córkę Marynki panienka nazywa siostrą?

ZOFJA. Skoro nią jest. [do dziecka]. Nie lękaj się maleńka...

DZIEWCZYŃKA [wrywa się płacząc]. Nie.. nie... boję się.

W tej chwili drzwiami na prawo wchodzi panna Róża trzymając zwój bielizny w ręku. Spostrzega obecnych i szybko podchodzi do dziecka.

PANNA RÓŻA. Chryste Panie! Chodź Waciu, pójdziemy do domu [bierze ją za rękę].

DZIEWCZYŃKA [z radością chwyta się jej oburącz]. Z paniusią, dobrze! [wychodzą drzwiami na prawo].

BARTEOMIEJ [który stał w osłupieniu, powtarza echowo]. Siostrą, nazywa ją siostrą!

ZOFJA. Wy wszyscy widzicie w niej tylko wstyd dzisiejszy, a ja przecież nie mogę pozwolić, aby urosła w niej nowa hańba i nowe nieszczęście.

BARTEOMIEJ [z rozczuleniem]. Ty święta dziecino, niech ci Bóg błogosławi za to, żeś ją nazwała siostrą! [przypada do Zofji, całuje ją w rękę, potem zwraca się do rodziców i wskazując Zofję, mówi]. Przez nią ostańcie z Bogiem! zemsty zaniecham [wychodzi].

MATKA [porywczo do córki]. Jak śmiałaś czynić taką obietnicę?

ZOFJA. Skoro ojciec nie chciał wiedzieć o niczym [z wyrzutem] a mama mu jeszcze broniła.

MATKA. Nie na to strzegłam przez całe życie czystości mego domowego ogniska, aby stać się ono miało przytułkiem dla... podrzutka, którego istnienie jest dla mnie obrazą.

ZOFJA [żywo]. Wszak obrazę mama przebaczyła a dziecko jest niewinne...

OJCIEC [który chodzi gwałtownie po pokoju surowo]. Prze-
stań mówić o tym, czego nie rozumiesz.

MATKA. Co ci daje śmiałość rozprawiania o rzeczach tak niewłaściwych w ustach panny.

ZOFJA. Chrząst bolu i poznanie obowiązku.

MATKA. Obowiązkiem twoim nie rozmawiać a słuchać i wierzyć rodzicom.

ZOFJA [ze smutkiem i goryczą]. Wierzyć? kiedy?

OJCIEC [dziwiony, przystaje]. Jakto kiedy?

ZOFJA [z goryczą wzrastającą]. Czy wówczas, gdy uczą, że przysięga jest świętą, miłość związkiem dusz, jedynym i wiernym, czystość warunkiem szczęścia i honoru, kłamstwo godnym pogardy, skrzywdzenie słabszego hańbą? Czy też potym kiedy twierdzą, iż zdrada męża jest koniecznością, którą wyrozumieć należy i uznać za sprawiedliwe, by za chwilę jego rozrywki biedne dziewczęta staczały się w toń upodlenia a dzieci małe kradły z głodu lub ginęły z nędzy! [porywczo] Kiedy wam wierzyć, kiedy?

MATKA. Szalone pytanie.

ZOFJA [w uniesieniu]. I zbyt czyste, bo serce moje czuje, że mamy prawo nie tylko same żyć według wpojonych nam zasad moralnych, ale i wymagać, aby się do nich stosowali wszyscy.

OJCIEC [wybuchając drwiącym śmiechem]. Ha! ha! tylko tyle! no proszę! Na szczęście świat nie zidjociał jeszcze do tego stopnia, by mu serca panienek prawa dyktować miały.

MATKA [z ruchem nakazującym]. Dostyc, co teraz zamierzasz?

ZOFJA [stanowczo]. Zaopiekować się moją siostrą.

MATKA [twardo]. Pamiętaj, że pod naszym dachem dla niej miejsca niema.

ZOFJA [blednąc z wysiłkiem]. Czy mam rozumieć, że... i dla mnie zbraknąć go może?...

OJCIEC. A gdyby? cóżbyś uczyniła?

ZOFJA [z wysiłkiem, ale stanowczo]. Musiałabym się postarać o byt samoistny.

MATKA [zdumiona i zatrwożona]. Ważyłabyś się na to?

OJCIEC. Sądziś, że pozwolilibyśmy?...

MATKA. Pannie kompromitować się opieką nad dzieckiem?

OJCIEC. Nie waź mi się myśleć o tym.

ZOFJA [ze smutkiem, choć stanowczo]. Jestem już pełnoletnią!

MATKA [powtarza zdumiona]. Pełnoletnią.

OJCIEC [z gniewem]. Smiesz wspominać o pełnoletności! [drwiąco] Czy przypuszczasz, że pełnoletność jeść ci da, lub, że ją będęłożył na twoje fantazje?

ZOFJA [przerywa spokojnie]. Wiem, że nie, lecz nie ja pierwsza będę musiała zarobkować bez przygotowania, więc ufam, że podołam, jak inne.

MATKA [ze łzami]. Taka to twoja wdzięczność dla matki, która cię wychowała, wykarmiła, wyrzekasz się jej dla urojenia i obcego dziecka...

ZOFJA [prosząco]. Matko!... wysłuchaj... [garnie się do matki, która ją odpycha]. Błagam, wysłuchaj! Wiesz, jak cierpiałam i pragnęłam śmierci, ale i śmierć sama nie dałaby mi spokoju, bo nie otarłaby ani jednej łzy, nie zapobiegła ani jednej krzywdzie. Ból mój stał się tak wielkim, że rozkuł mi mózg z krępujących go pęt i odważyłam się myśleć jakoś inaczej. Nauki mamy, różne zdania słyszane, czytane, w tym wielkim cierpieniu zaczęły wypływać z pamięci i przetapiać się w poglądy moje własne, aż zrozumiałam...

OJCIEC [niecierpliwie]. Cóż tam nowego?

ZOFJA. Ze jeśli kosztem tylu mąk i upodlenia, wyodrębniono dla nas dziewcząt uprzywilejowanych świat o zasadach czystszej moralności, to dla tego, abyśmy zasadami tymi do głębi przejęte i niemi uszlachetnione uczyniły kiedyś czystość prawem ogólnie obowiązującym, które zniesie zdrady i kłamane przysięgi.

MATKA. Dziecko zbłąkane, tworzysz mrzonki chorą wyobraźnią.

OJCIEC. Śliczny rezultat rozumowań kobiecego mózgu który nie jest do tego stworzony. Dawniej kobiety kochały i wierzyły, więc potrafiły pogodzić zasady moralności z wymogami życia.

ZOFJA [porywczo]. Powiedz ojeze z hańbą swoich sióstr i opuszczeniem nieszczęśliwych dzieci.

OJCIEC. Dziś rezonują i pozwalają sobie nawet rodzicom dawać nauki.

ZOFJA. Odczuwają instynktem, że treścią życia nie może być brud i krzywda!

OJCIEC [z gniewem]. Milcz, przebrałaś już miarę mojej cierpliwości.

MATKA [z płaczem]. Wyrodne dziecko, przewrotnymi mrzonkami urojonej szlachetności, niszczysz spokój rodzicielskiego domu, cześć jego chcesz rzucać na łup plotek i skandalu! Oh! po cóż tego doczekałam... dożyłam... [chwije się łkając].

OJCIEC [obejmuje matkę ramieniem a odwracając się do osłupiałej córki mówi]. Jesteś zbyt mądrą, abym ci miał wskazywać co masz teraz uczynić!

ZOFJA [porywa się i czyni ruch, aby się pogarnąć do matki, lecz nagle, jak na widok matki, cofa się i wybiega z okrzykiem]. Znowu to widziało!

MATKA [chce za nią podążyć, Ojciec ją zatrzymuje]. Co ona zrobi?

OJCIEC [z gniewem i lekceważeniem]. Co zrobić może? zdecyduje się prędzej wyjść za Kazimierza. Chodźmy, dla jej dobra trzeba aby odczuła, że zagniewani nie damy się łatwo przebłagać.

MATKA [z płaczem]. Jakie to strasznie bolesne!

OJCIEC [potakująco]. Oh! tak, po tylu latach... poświęceń i trudów [wyprowadza matkę na lewo].

LOKAJ [wchodzi drzwiami w głębi mówiąc]. Pan Broński.

OJCIEC. Doskonale, proś tutaj i powiedz panience, że czeka na nią. [Rodzice wychodzą na lewo, lokaj drzwiami w głębi].

Po chwili Kazimierz wchodzi drzwiami w głębi z wiązanką kwiatów, widocznie wzruszony, rozgląda się po pokoju i zaczyna chodzić z oznakami zdziwienia i niecierpliwienia.

ZOFJA [wbiega drzwiami na prawo poruszona, w kapeluszu i okryciu, na widok narzeczonego staje jak wryta] Pan?!

KAZIMIERZ [z porywem]. To ja ukochana! [chwytając jej rękę i po kolei całuje, spostrzegając jednak, że Zofja jest ubrana jak do wyjścia, puszcza jej rękę i odstępując mówi z żalem i urazą]. Pani wychodzi, gdy ja stęskniony spieszę na to upragnione porozumienie, więc przedemną uciekasz?

ZOFJA [z wysiłkiem, lecz i odcieniem dumy]. Nie uciekam przed nikim... nabrałam już odwagi i przyznaję, że istotnie będzie lepiej jak i my się rozmówimy [siada na krześle].

KAZIMIERZ [zaniepokoiony]. Pani taka jakaś dziwnie zmieniona, co pani jest?

ZOFJA. Za chwilę odpowiem panu... przedtym jednak chciałabym usłyszeć co pan mi ma do powiedzenia?

KAZIMIERZ [siadając obok niej]. To, że biegłem bez pamięci, aby ci wypowiedzieć, że krzyk twej zranionej duszy rzucił mi nowe światło na bolesne zagadnienie, które nas rozdzieliło... i dziś już uznaję, iż musimy pracować nad wysubtelnianiem pojęć i odczuwań moralnych;—uznaję, że nie należy poczytywać wiarołomstwa mężczyzny za rzecz dozwoloną! A pani moja wita mnie, jakby zapomniała, że istnieję na świecie!

ZOFJA [z uczuciem i radośnie]. Oh! nie zapomniałam i dziękuję, dziękuję całym sercem za te słowa, które mi dodają otuchy.

KAZIMIERZ [zdziwiony]. Otuchy! Ależ ja cię kocham bezgranicznie, bez ciebie życia nierozumiem... nie chcę. Najgorętszym też moim pragnieniem, abyśmy jak najrychlej połączyć się mogli i zaczęli żyć z sobą i dla siebie, zdala od tych wszystkich rozsterek.

ZOFJA [podchwytuje]. Aby wspólnie pracować, myśleć i dążyć?

KAZIMIERZ [zdziwiony, z zapalem i pewnością siebie]. Ukochna, przecież ja będę pracować na ciebie!

ZOFJA. Kiedy ja pragnę być dla męża czymś więcej niż szafarką jego zarobku i piastunką jego dzieci. W mężu nie szukam żywiciela, ale towarzysza życia...

KAZIMIERZ. Ja również szukam życia towarzyszki, lecz nie pojmuję o jakiej pracy pani myśli?

ZOFJA. Każdej, któraby nas nie rozdzielała, lecz łączyła. Pragnęłabym abyśmy mieli cel wspólny, wielki, do którego dążylibyśmy ręką w rękę, pracując społem ażeby się myśli i uczucia nasze tak zlały w jedno nierozdzielnie, jak dźwięki w pieśni.

KAZIMIERZ. Entuzjastko ukochana, dążmy do tego upragnionego ideału, lecz w małżeństwie prace raczej dopełniają się niż mogą być wspólne.

ZOFJA. Jednak dążyć można do uczynienia ich wspólnymi, zakreślając im cel wyższy niż własne wygody i rozrywki.

KAZIMIERZ. Zapewne, choć wierz mi pani, iż dla mężczyzny potężnym urokiem jest czuć się opoką rodziny a nie mniejszym dla kobiety uszczęśliwiać tego, od którego zależy jej byt i stanowisko.

ZOFJA [posepnie]. Chyba nie dla każdej, zresztą ja takiej zależności już dziś przyjąłbym nie mogła.

KAZIMIERZ [zdziwiony]. Dla czego?

ZOFJA. Bo przyjąłam zobowiązanie, które tylko własną pracą spełnić muszę.

KAZIMIERZ [zdumiony]. Czy ja dobrze słyszę? Pani ma jakieś zobowiązania? co pani tak nazwa?

ZOFJA. Opiekę nad moją siostrą.

KAZIMIERZ [nierozumiejąc]. Jaką siostrą?

ZOFJA. Dzieckiem Marynki, która umarła.

KAZIMIERZ [zdumiony, oburzony]. Ależ to szaleństwo!

ZOFJA [zawiedziona]. Pan to za złe uważa?

KAZIMIERZ [porywczy]. Naturalnie. Pani nie zna świata, ani jego opinji, więc nawet pojąć nie może jak ohydne oszczerstwa wywołałaby taka opieka.

ZOFJA. Przed chwilą mówił pan o potrzebie wysubtelniania poglądów moralnych a teraz potępia pan opiekę nad dzieckiem opuszczonym przez wszystkich?

KAZIMIERZ. To są rzeczy zupełnie różne [orientując się] Poryw pani jest anielski i szczytny, lecz nie mniej szalony i zbyteczny.

ZOFJA [ze zdziwieniem]. Jaktoby zbyteczny?

KAZIMIERZ [żywo]. Zaręczam pani, że to dziecko otrzyma przyzwoite wychowanie bez udziału pani i ściągania na nią złośliwych domysłów.

ZOFJA [z żalem]. Jakże my się nierozumiemy! [siada na krześle].

KAZIMIERZ [siada obok niej]. W czym ukochana moja?

ZOFJA. Przecież nie idzie mi wyłącznie o to jedno dziecko, wszak jego lepsza, czy gorsza dola nie zapobiegnie nadal nieszczęściom podobnym.

KAZIMIERZ. Do czegoż więc pani dąży?

ZOFJA. Do zaznaczenia jawnie, czynem, iż wyznaję zasadę jednako czystej moralności dla wszystkich.

KAZIMIERZ [ze zdumieniem, ironją, podziwem]. Chce pani stać się żywym protestem, wskazującym ludzkości drogę ku sprawiedliwszej etyce?!

ZOFJA [zrywa się z krzesła, mówiąc z żalem i oburzeniem] I to mówi pan? Pan, który tak potępiał bierność kobiet marnu-

jących energję na znoszenie bólu zamiast zwalczać jego przyczynę?

KAZIMIERZ [wstając także zdziwiony]. Ja to mówiłem?

ZOFJA [żywo]. Tak, a słusność tego dowodzenia potwierdziło mi to, co pan dziś powiedział o wiarołomstwie, dając mi nowy bodziec do wytrwania.

KAZIMIERZ [z niepokojem]. W czym? co pani zamyśla?

ZOFJA [z zapalem]. Poznać życie i ludzi. Do celów swych sama znaleźć drogę, a to co serce odczuwa i sumienie wskazuje nauczyć się wcielać w czyn.

KAZIMIERZ [z niepokojem i wyrzutem]. A małżeństwo nasze?

ZOFJA. Obecnie niemożliwe. Dopiero gdy wyrosnę na kobietę, która nie pytać—lecz radzić potrafi, wówczas przekonamy się czy głębie dusz naszych są dość pokrewne, by je spoić mogła istotna wspólność życia.

KAZIMIERZ [porywczo]. I dla takich mrzonek, bezlitośnie odtrąca mnie pani i chce nasze szczęście poświęcić?

ZOFJA [gorąco z przekonaniem]. Przeciwnie, ja chcę je zdobyć! Uchronić miłość naszą od starcia na proch w świadomym fałszu codziennych kompromisów. Pragnę osiągnąć taką wspólność pożycia, jakiej możliwość przeczuwam, ale nie wiem jeszcze jak ją urzeczywistnić.

KAZIMIERZ. Zdobyć nasze szczęście, przez wyrzeczenie się związku, to już niepojęte!

ZOFJA [z mocą]. Lecz konieczne! Dziś jestem dla pana dzieckiem, na które pracować miłość twoja znajduje równie naturalnym, jak za nie myśleć i rozstrzygać. Nie znajdujesz pan dla mnie miejsca przy pracy wspólnej. Nie przypuszczasz wcale, że we mnie, jak w tobie—są siły, które mozołu wołają, jest duch, który potrzebuje myśleć, rozumieć, zdobywać. Że i ja chcę żyć nie tylko przez męża, i nie tylko w dziecku!... ale pełnią życia sama sobą!... Własną myślą, własnym czynem!

KAZIMIERZ [z żalem i goryczą]. Teraz dopiero zrozumiałem! Ty mnie wcale nie kochasz. [Zofja czyni ruch, zaprzeczenia, który przechodzi w zmieszanie i wzruszenie, Kazimierz mówi dalej coraz goręcej]. Tak, nie kochasz, bo gdybyś kochała nie troszczyłabyś się, czy jaźnie nasze są jednokie, czy różne, tylko pragnęła abyśmy do siebie należeli, nie wątpiąc o naszej spójni duchowej.

ZOFJA [po chwili wahania z wybuchem]. A jednak kocham!

KAZIMIERZ [z radością]. Kochasz [chwytając jej rękę i całując]. Ukochana! to była próba nieprawdą?... nie możesz mnie już teraz oddalić od siebie.

ZOFJA [z łagodną stanowczością]. Niestety muszę, bo pragnę miłości innej, niż wasza dzisiejsza.

KAZIMIERZ. Jakto innej?

ZOFJA [coraz żywiej]. Wy, dziś zrywacie każdy kwiat który oko wasze skusi, aby po chwili rzucić go w błoto a przez tyle wieków żęliście żniwo miłości i śmierci! Teraz z kolei my, które jesteśmy miłością życiodajną, dopominamy się o nasze prawo!.. Nam niewystarcza przelotna miłostka krwi i ciała, bo potrzebą naszej natury jest trwałość i zespół duchowy. On miłość podniesie do ludzkiej wyżyny, oczyści z krzywdy i przemocy, w całej potędze rozwinie. I miłość taką będziecie musieli nam dać — jeśli chcecie... istnieć!

KAZIMIERZ. Mężczyźni kochają zawsze tak, jak kobiety chcą być kochane. Żądajcie—a będziemy pracować nad urzeczywistnianiem ideałów, które dziś depczemy—oddając pot i krew, naukę i cześć za pieniądze i stanowiska potrzebne do zdobycia was i waszej miłości!

ZOFJA [porwana]. A więc...

KAZIMIERZ [gorąco]. Prowadź do nowego szczęścia apostołko ukochana!

Jak porwani wspólną myślą postępują kilka kroków ku sobie.

ZOFJA [bardzo wzruszona]. Prowadzić nie mogę!.. Z różnych stanowisk musimy każde z osobna odnaleźć własną ścieżkę, lecz gdy będziemy dążyć do jednego ideału dobra... wierzę, iż drogi nasze się zjedną.... idąc ku sobie.

[Kurtyna spada].



5818

A

